Świat MŁODYCH

Nr 16 | WARSZAWA 23. V. 1949 r. | 10 zł

PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ I SZKOLNEJ

MATKA

Z rana obok łóżka na krześle zacerowane skarpetki. W niedzielę czysta, wyprasowana koszula. Kiedy jest zimniej słychać jej głos:

— Czy zabrałeś ze sobą szalik?

Matka jest zawsze przy tobie. Dba o twoje ubranie, baczy czy jesteś zdrowy, pilnuje jak się uczysz.

Matka jest zawsze przy tobie.

Nigdy czytelniku czy czytelniczko „Świata Młodych" nie pamiętasz tego, co matka dla ciebie zrobiła. Dni pędzą, miesiące uciekają, lata idą — a Ty przechodzisz z klasy do klasy, poznajesz nowych kolegów, czytasz nowe książki i na myśl o matce niebardzo starcza ci czasu.

Nieraz odburkniesz coś opryskliwie i zapinając teczkę pognasz do szkoły. Kiedy pomyślałeś o matczynych nocach nieprzespanych podczas twojej choroby? Kiedy myślałeś ile troski było w oczach matki — gdy w czasie okupacji nie wiedziała co dać ci jeść.

Zastanów się chwilę i przyznaj — O TYM POMYŚLAŁEM.

Matka cię kocha.

Jeżeli kiedyś będąc dorosłym zadasz sobie pytanie:

Czym się matce odwdzięczyłem za jej trud i troskę"? będziesz się musiał zastanowić j a k i m jesteś człowiekiem!

Jeżeli będziesz dobrym obywatelem swojego kraju, dobrym i dokładnym pracownikiem w swym zawodzie — dzielnym i uczciwym człowiekiem — to praca twej matki będzie nagrodzona.

W dniu 26 maja, w DNIU MATKI pomyśl o tym.

JAN TROJANOWSKI

W NUMERZE:

SPOTKAMY SIĘ PRZY LEŚNICZÓWCE, str. 4.

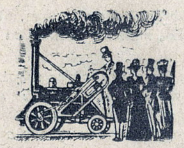

STOI NA STACJI LOKOMOTYWA, str. 6.

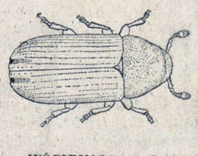

WŚCIBINOS I LAS, str. 8.

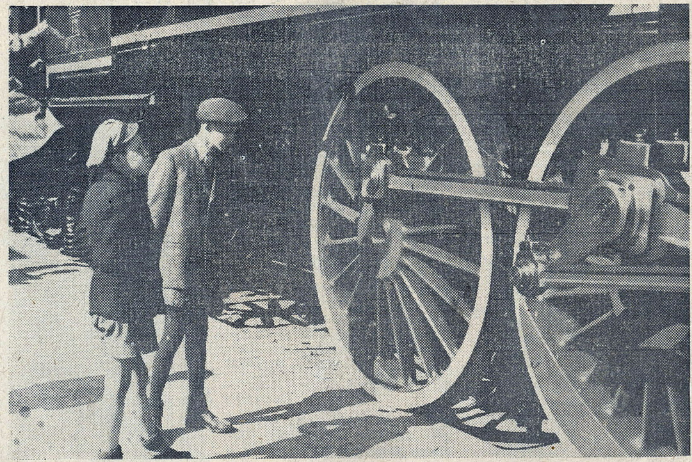

SEMAFOR W GÓRĘ!

SŁOWO dworzec jest o wiele starsze od pierwszego na świecie „samowarka". Dawniej znaczyło ono wielki dwór, a więc reprezentacyjny gmach książęcy, miejsce międzynarodowych spotkań. Od powstania pierwszego parowozu słowo dworzec — to po prostu wielka stacja kolejowa. Słowo o innym znaczeniu, ale o tym samym oddechu: reprezentacyjny punkt połączony ze światem siecią dróg.

CHAOS I PRACA

Taki właśnie dreszczyk przeżywają uczniowie z siódmej klasy udający się na wycieczkę do Gdyni. Na placu przed warszawskim Dworcem Głównym, jak zwykle. zgiełk i pośpiech. Tłum ludzi, autobusów, taksówek. Istne piekło walizk i tłomoków. Przed tablicą z rozkładem jazdy jak przed drogowskazem podróżni zadzierają głowy. Siódma klasa ma jeszcze sporo czasu do odjazdu. większość uczniów chodzi po dużej hali i poddaje się zwykłym wrażeniom dworcowym. Ale pewna część ich kolegów — harcerzy oddziela się i postanawia zobaczyć dworzec od strony kulis, zbadać tajemnicę semaforów i torów.

Semafory nie podnoszą się przecież same. Bilety nie wyskakują automatycznie z okienek. Pociągi nie wychodzą i nie przychodzą na chybił-trafił. To wszystko robią ludzie pracy. Pełna chaosu na pozór machina dworcowa zatrudnia dziesiątki funkcjonariuszy bez przerwy, by nie ustać ani na moment. Ludzie ci pracują tu dzień i noc na różne zmiany. Dla nich dworzec odarty jest ze wszystkiego czaru, powszedni i kłopotliwy.

RĘCE DWORCA

Pasażerowie niecierpliwią się w ogonkach do kas. Dla nich ręce kasjera czy biletera to jakby maszynki bez nerwów, bo zajęci są tylko swoim biletem, swymi pieniędzmi, swym pośpiechem. Krzyczą przy okienkach, kłócą się.

Wszystko to tłumaczy swym kolegom — harcerzom najstarszy Mietek i dodaje:

— Ile trzeba zrobić ruchów, żeby wydać jeden bilet. Wyszukać kasetkę z opowiednią stacją, postukać stemplem. wziąć pieniądze, wydać reszty. A przecież niektóre bilety wypisuje się. Ile kasjer sprzedaje biletów w ciągu godziny?

— Chyba ze sto — odpowiada Janek.

A więc pomnóżmy te wszystkie ruchy przez sto i potem jeszcze przez ilość godzin w dworcowym chaosie. Ile wypadnie? W ciągu takiego samego czasu ręce bileterów muszą przyjąć podobną ilość biletów od przyjezdnych.

W bagażowni aż ciemno od walizek i tobołów. Przez okienko wślizgują się i wyślizgują paki, tłomoki, skrzynie. Chwytają je lub podają zawsze te same ręce. Ile w ciągu godziny ręce bagażowego postawią tych paki waliz na półkach? Ile codziennie podnoszą kilogramów?

Dworzec ma jeszcze inne ręce. Te, które przestawiają tory, zapalają i podnoszą semafory.

— Mamy jeszcze półtorej godziny do odjazdu — spogląda Mietek na zegar w hali dworcowej — może uda nam się zwiedzić nastawnię. To najciekawsze.

— Dokąd idziecie? — pyta bileter.

— Jesteśmy harcerzami. Zwiedzamy dworzec. Chcielibyśmy zobaczyć nastawnię.

— Aha- — kiwa głową bileter i woła kolegę w kolejarskim mundurze — zaprowadź tych młodzianów do nastawni.

W jednopiętrowym budynku na skraju torów można nareszcie zobaczyć te ukryte ręce, które z pomocą różnych maszynowych rączek nastawiają tory, zmieniają sygnały. Kolejarz w nastawni wygląda jak sternik w łodzi płynącej po torowiskach. Jeden tylko ruch, a poprzez podziemne połączenie przesuwają się szyny, opada semafor. Jedno przyciśnięcie guzika, a zapala się gdzieś zielone światło ku uciesze pasażerów czekających na wolny przejazd. Ale nie wolno się omylić. Bo wystarczy również jeden nieopatrzny ruch, a już może być katastrofa.

SERCE DWORCA

Wszystko to się robi, aby ludzie mogli podróżować aby pociągi przychodziły i odchodziły. Parowozy — to jakby serca wspólne wielu dworców. Parowóz to nawet maszyna bliska żywemu sercu: maszyna ssąco-tłocząca. Tylko tam krew — a tu krąży para.

— Jestem maszynistą — objaśnia harcerzom kolejarz.

— To chyba najcięższa praca? — pyta najmłodszy Karol, dla którego maszynista, to człowiek ginący w obłokach pary.

— Tak. To zupełnie co innego niż siedzieć w przedziale i nudzić się. Trzeba regulować szybkość pociągu, znać wszystkie sygnały i prażyć się w wiecznym upale.

MOZG DWORCA

— Patrzcie, tu jest mózg dworca — objaśnia Mietek, gdy po powrocie z torowisk wracają na jeden z bocznych korytarzy.

— Tak — Janek czyta napis na drzwiach — biuro naczelnika stacji.

To tutaj obmyśla się wszystko?

— Hm. Naprzykład rozkłady jazdy — potwierdza Mietek. — Tutaj pracuje cały sztab urzędników, którzy tylko myślą, liczą i piszą.

OCZY I USZY DWORCA

— Przepraszam, na czym polega pana służba? — pyta Mietek wartownika ze Służby Ochrony Kolei chodzącego po hali z karabinem.

— O, ja i tutejszy posterunek milicji to uszy i oczy dworca. Pilnujemy porządku. Usuwamy pijaków, łapiemy złodziei.

Ale uszy i oczy dworca, to jeszcze numerowi, którzy wybiegają na każdy pociąg, aby pomóc podróżnym nieść walizki i zarobić na chleb; to pokój sanitarny, gdzie opatruje się chorych, przetrzymuje się matki z niemowlętami oczekujące swego pociągu; to nawet bufet i bufetowi z wózkami, fryzjerzy dworcowi, kobieta stojąca na progu toalety, dająca ubrudzonym pasażerom wodę mydło, ręcznik.

— Teraz będziemy już inaczej patrzeć na tory, sygnały i na dworzec mówi Mietek — wiemy, że to wszystko ciężka zespołowa ludzka praca.

— O tak — zgadzają się z nim młodsi harcerze.

M. BIAŁOSZEWSKI

HISTORIA BEZ SŁÓW

Spejbl i Hurwinek

najsławniejsi aktorzy czescy

Prof. J. Skupa

W POLSCE przebywa obecnie na gościnnych występach czeski teatr marionetkowy prof. Józefa Skupy. Dla zapoznania naszych czytelników z tym sławnym już w całej Europie teatrem zamieszczamy poniższy artykuł.

Jednym z najbardziej znanych artystów scen czeskich jest Spejbl. Spejbl występuje na deskach scenicznych od roku 1920 i dziś jego popularność jest olbrzymia. W roku 1926 w maju urodził mu się syn, który tegoż miesiąca zadebiutował na scenie, zyskując sobie od razu sympatię publiczności, wywołując swą grą aktorską i swymi dowcipnymi powiedzeniami huragany śmiechu na widowni.

Fenomen natury? Cudowne dziecko? Nie: po prostu rzecz dzieje się w teatrze prof. Skupy, genialnego artysty — twórcy lalek Spejbla i Hurwinka. Oto pierwszy występ Hurwinka.

Spejbl jak zwykle grał i śpiewał jakby nigdy nic. W końcu zmęczył się: chce usiąść

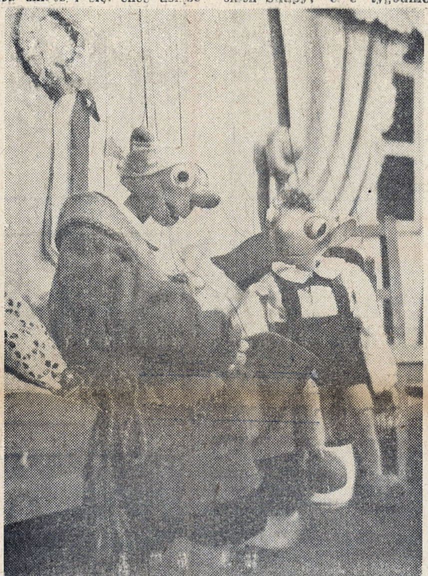

w swoim fotelu klubowym. Nie znajduje go.

— No, przecież muszę mieć z „tego“ jakąś wyrękę — mruczy. — Przynieś klubowiec! — woła za kulisy.

I najpierw chwila ciszy, potem rumor, potem ukazuje się Hurwinek. Oklaski. Burza, huragan braw. Wybuch śmiechu. Widownia dosłownie ryczy.

Po scenie kroczy Hurwinek, dźwigając ciężki fotel. A „stary“ Spejbl (ma już bądź co bądź sześć lat) spogląda z dumą i pychą ojcowską. Mały wstydzi się okropnie. Nie można się temu dziwić, jest przecież pierwszy raz na scenie, może więc mieć tremę. Och, jak on się wstydzi! Schował się za plecy ojca i tylko raz po raz zerka stamtąd ukradkiem wybałuszając ciekawe ślepia. Znowu burza oklasków.

×

PROF. Józef Skupa już przeszło trzydzieści lat pracuje jako dyrektor teatru, aktor poruszający lalki, autor tekstów i pomysłów scenicznych. Pracę swą rozpoczął w roku 1917 w teatrze marionetkowym w Pilźnie. I wkrótce teatr jego stał się jednym z najsławniejszych teatrów marionetkowych Europy.

Najpierw bohaterem teatru prof. Skupy była lalka zwana Kasparkim. Postaci tej poświęcono pamiątkową tablicę mówiącą o tym, jak Kasparek pomagał burzyć monarchię autsro węgierską. Tablicę tę ufundowali wdzięczni mieszkańcy Pilzna.

W 1920 roku teatr zyskał Spejbla wyrzeźbionego według projektu Skupy przez Karola Noska. Początkowo była to figurka drugoplanowa, występująca epizodycznie. Stopniowo zyskał sobie Spejbe niebywałą popularność.

Spejbl długo rodził się w myślach Skupy; całe tygodnie i miesiące. W końcu, mając już gotową sylwetkę psychiczną nowej lalki Skupa przedłożył swój rysunkowy projekt tej postaci Karolowi Noskowi rzeźbiącemu lalki dla jego teatrzyku. Ale upłynął jeszcze rok zanim Skupa przydźwigał swego Spejbla za kulisy.

Nie przywitano tam nowego aktora zbyt entuzjastycznie. Czasem miał jakąś małą rólkę w przedstawieniach dla dzieci, a gdy nie grał, wisiał sobie za sceną nawet bez ochronnego futerału. Traktowany był trochę po macoszemu i bardzo musiało go boleć jego drewniane serce, gdy widział kurz osiadający na swym fraku. Lecz nie poddawał się. Wykorzystywał jak mógł swoje role. Był żywotny. Wiedział, że w końcu zyska popularność. Miał upartą, twardą głowę z lipowego drzewa. No i w końcu zwyciężył. Nie wielu aktorów może się pochwalić taką popularnością jak on.

×

W LATACH okupacji teatr prof. Skupy wsławił się swymi występami dla dorosłych. Widownia z zapartym tchem przyjmowała polityczne aluzje, niedostrzegalne dla niemieckiej cenzury. Jak za czasów austro - węgierskiej monarchii Kasparek, tak teraz Spejbl i Hurwinek rozpoczęli działalność polityczną. W wyniku tej działalności w styczniu 1944 roku Skupa został aresztowany. Ba aresztowani zostali Spejbl i Hurwinek i w kancelarii pilzneńskego gestapo oczekiwali zakończenia wojny. Dziś grają dalej u Skupy, który szczęśliwie przebył wiezienie i też doczekał się wolności.

×

W ROKU 1948, na wniosek ministra informacji Wacława Kopeckyego przypadł w udziale prof. J. Skupie zaszczytny tytuł czeskiego artysty narodowego nadany mu przez władze ludowej republiki Czechosłowackiej. Tytuł ten uzyskują artyści najlepsi, najwięksi i najbardziej zasłużeni na polu szerzenia kultury. Tytuł taki w Polsce mógłby mieć naprzykład Ksawery Dunikowski, Sztompka, czy Solski. W tym zestawieniu wyróżnienie Skupy może zdziwić polskiego czytelnika. Ale pamiętajmy, że Czechosłowacja jest krajem lalki i lalkarstwa, mającego tam kilkaset lat tradycji. Zdajmy sobie sprawę z tego, że ruch lalkarski ma tam ogromną dynamikę i ogromną popularność.

Już w roku 1945 było w CSR 200 teatrów lalkowych, w 1946 — 800, a w 1947 — 1.200! W czterdziestu kursach dla lalkarzy, istniejących w roku 1947 w Czechosłowacji wzięło udział 2.000 słuchaczy. W Czechosłowacji tworzy się liczne filmy kukiełkowe; rozwija się przemysł lalkarski, fabrycznie produkujący lalki i dekoracje dla teatrzyków amatorskich istniejących niemal przy każdej szkole.

Jerzy L. Meissner

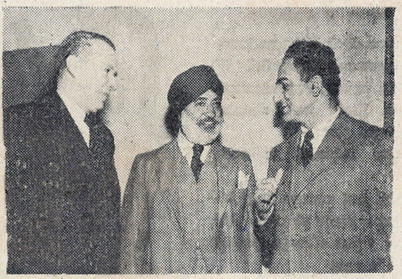

Ci trzej panowie na zdjęciu noszą te same nazwiska. Pierwszy od lewej: wiceminister Malik (ZSRR), drugi — przedstawiciel Libanu, ambasador Malik i trzeci Malik — przedstawiciel Wielkiej Brytanii. Trzej ludzie — i dwa różne światy.

W Polsce i zagranicą w 1949 r. obchodzimy uroczyście Rok Chopina, Mickiewicza, Puszkina i Słowackiego. Na zdjęciu fragment rzeźby wykonanej przez rosyjskiego rzeźbiarza, przedstawiający Puszkina z Mickiewiczem.

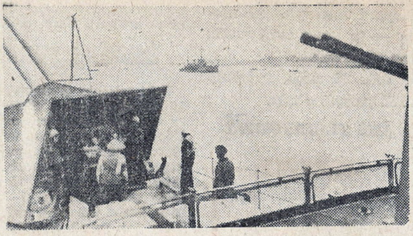

Walka w Chinach trwa. Na zdjęciu kanonierka chińska na wodach Jang - Tse - Kiang. Armia Ludowa zwycięża!

Moja rozmowa z ojcem

Zobacz — kominy dymią. Patrz — nowe domy. Patrz — ile się w Polsce buduje“.

Te słowa ciągle słyszę od ojca, w niedzielę kiedy razem idziemy przez Aleje na spacer po Warszawie.

Nieraz nudzą mnie te ojcowskie słowa. Ale potem kiedy się zastanawiam— zaczynam rozumieć po co ojciec powtarza ciągle tą samą myśl.

Ojciec chce, żebym zrozumiał jaki ogromny wysiłek wkładają w odbudowę naszego kraju robotnicy, że właśnie praca robotników, inżynierów, sprawia, że kraj nasz żyje i rozwija się.

„Największą wartością w naszym kraju jest praca“. — powiada ojciec.

Ja zaś myślę tak: — Dawniej najważniejszą była forsa. Jak człowiek miał pieniądze — to mógł wszystko zrobić. Za pieniądze mógł sobie kupić tytuł hrabiego, za pieniądze mógł dostać się na stanowisko — za pieniądze miał ubranie, najlepsze jedzenie.

Ale skąd miał taki bogaty człowiek pieniądze.

— Miał je z pracy robotnika albo chłopa. Taki człowiek nic nie robił, leniuchował, swoje dzieci wysyłał na wakacje do Włoch (bo tam piękna pogoda) — a dzieci robotników chorowały na gruźlicę.

— Czy teraz jest tak samo? — ja myślę że nie. Takim darmozjadom wszystko zabrano a fabryki należą do państwa. A kto rządzi teraz państwem?

Robotnicy. PREZYDENT kiedyś był drukarzem, V-ce premier ZAWADZKI górnikiem, minister rolnictwa — DĄB-KOCIOŁ chłopem.

Wszystko wygląda zupełnie inaczej. Dlatego robotnicy pracują teraz tak dobrze — myślą o ulepszeniach swej pracy, prowadzą między sobą współzawodnictwo: „kto potrafi mądrzej pracować, a w ten sposób osiągnąć najwyższą normę“?

Czytam nazwiska: KRAJEWSKI — murarz, APRYAS — górnik, — nowi przodownicy pracy. ZIELIŃSKI — górnik dzięki swej pracy i zdolności został dyrektorem kopalni.

Kiedy o tym tak sobie myślę, to widzę, że ojciec ma rację. Będzie nam lepiej — już jest lepiej — bo pracują robotnicy, inżynierowie, urzędnicy, lekarze.

PIERWSZEGO CZERWCA ROZPOCZNIE SIĘ ZJAZD ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH. Będą tam mówić o tym co się w Polsce zrobiło i co jeszcze zrobić trzeba. Do Związków Zawodowych należą wszyscy ludzie pracy. Będzie to zjazd naszych ojców i matek. A więc to nasz zjazd.

Paweł

NASZA szkoła jest tam na górce! O, widzi pani ten biały budynek? — objaśnia mnie mała dziewczynka, pierwsza „osoba" napotkana na małej stacyjce kolejki dojazdowej w Komorowie pod Warszawą, i wskazuje palcem w stronę sosnowego lasku. Przymiotnik „nasza osoba" podkreśla bardzo wyraźnie i zaraz biegnie szybko, zostawiając mnię daleko w tyle. Cienkie warkoczyki przewiązane czerwoną wstążką podskakują, jak żywe.

Jest słoneczne przedpołudnie. — Jaka też to jest ta „nasza" szkoła — myślę, raźno maszerując po piaszczystej drodze.

NIE BĘDZIE WAGARÓW

Do szkoły prowadzi aleja własnej roboty, wysadzana drzewkami. Obchodzę budynek naokoło i podziwiam piękne kwietniki, „młody" i „stary" las, letnią scenę, boisko wśród brzóz.

— Zaczynam zazdrościć komorowskim dzieciom. Dopiero później dowiem się, że to wszystko zasługa ich pracy i zasadzone drzewka i karmiki dla ptaków, i kosze na śmiecie, i oczyszczenie dziedzińca z gruzów. Dopiero później dowiem się, że o szkołę dbają wszyscy: nie tylko kierownictwo, nie tylko nauczyciele, ale uczniowie i ich rodzice.

Jednej zagadki długi czas nie mogę rozwiązać. Co to może być? Wkrąg zasadzone młode drzewa. Jeden krąg... Drugi.... Trzeci....

Pani Stanisława Laska informuje mnie: — Tu są „letnie" klasy: jaśminowa, bzowa, leszczynowa. Za kilka lat, gdy drzewa rozrosną się, klasy będą szczelnie „zamknięte".

— No, z takiej szkoły, to chyba nikt nie będzie uciekał na wagary —myślę, przypominając sobie ostatnie artykuły w „Świecie Młodych".

Tylko może być kłopot, gdy ptaki nauczą się sztuki podpowiadania!

„STRASZNY SEN" TO NIE LIPA

„Świat Młodych ma sporo przyjaciół w klasie siódmej i rozmowa wciąż schodzi na tematy poruszane w piśmie.

— Ze strasznym snem Janka to wcale nie lipa! — mówią, przypominając nasz konkurs.

Na przykład Krysi Szantyrównie zwanej w klasie Mopsikiem Tupu nie może ani rusz wejść do głowy chemia. Kładzie więc co wieczór pod poduszkę książkę. Twierdzi, że to pomaga, ale pani Demowa jest innego zdania.

Janek Gruchalski zwierza się ze swego strasznego snu.

Śniło mu się, że do klasy przyszedł pan inspektor szkolny, i „wyrwał" go z fizyki. Wszystkich przebiegają ciarki. To rzeczywiście był „straszny sen Janka". Fizyka i matematyka są najgroźniejszymi wrogami klasy siódmej, myślę, że nie tylko klasy siódmej.

Ale Staszek Makowski z VI b jest pod tym względem chyba wyjątkiem. On nie boi się matematyki. Ojciec jego jest kowalem. On będzie może profesorem. Nie miewa strasznych snów".

Strasznych snów nie ma także Andrzej Łazuk, — sekretarz samorządu szkolnego, dobry uczeń, czynny harcerz i ceniony kolega.

— Jednym słowem „dechowy" chłopak. — mówi o nim klasa. Spokojne noce ma również Staszek Ogrzewalski zwany Pigmejem, syn szewca z pobliskiej wsi. Wcale nie przeszkadza mu w lekcjach to, że jest prezesem samorządu szkolnego i że lubi grać w piłkę nożną.

Już od dłuższego czasu pragnę zadać klasie siódmej jedno pytanie. I jakoś nie mogę odważyć się. Nastrój wytworzył się beztroski i miły. Pytanie takie mogłoby go rozwiązać. Ale wreszcie decyduję się i wypalam: — A kto zostanie w tej samej klasie na drugi rok?

Pytanie przechodzi zupełnie bez wrażenia i przyznam się, że jestem trochę rozczarowana. Klasa siódma nie boi się końca roku szkolnego, nie drży przed egzaminami. Coprawda kilkanaście osób czuje się trochę niepewnie, ale chyba przejdą wszyscy.

NIEZAWODNA RECEPTA

— Jaka jest tajemnica tego powodzenia w nauce, powiedzcie, a może koleżanki i koledzy w całej Polsce skorzystają z waszych rad.

— Chłopcy są leniwi, dziewczęta znów roztrzepane i to przeszkadza im w nauce — mówi pani Remowa — trzeba walczyć z tymi wadami. A co do recepty na dobrą naukę, to nie ma jej chyba, no powiedzcie. Wstaje wtedy Hanka Dmochowska.

— Przede wszystkim należy uważać na lekcjach — mówi poważnie. Hanka współzawodniczy w nauce z Andrzejem Łazuskim, choć „ma na głowie" i samopomoc koleżeńską, i piłkę a lubi także, podobno pasjonującą, grę w klasy.

Elżunia Strzelecka i Teresa Michałówna, dwie nierozłączone przyjaciółki z pierwszej ławki, i Janek Kunczyński, który będzie inżynierem, i Rysiek Jędrzejczak zwany bocianem — gospodarz klasowy i Henek Mączyński, któremu koledzy wróżą w przyszłości stanowisko ministra — wszyscy potakują słowom Hanki.

— Więcej uważać, mniej się lenić, wytwarzać w szkole radosny nastrój no, i pomagać sobie wzajemnie — to recepta którą zalecają uczniowie komorowscy wszystkim kolegom i koleżankom.

Recepta stara jak „szkolny świat"

HAU, HAU, KIEDY BĘDZIE DZWONEK?

Nie tylko uczniowie czekają na dzwonek i na koniec lekcji. Pod drzwiami szkoły leży pies. Przychodzi tu po swoją młodą panią. Zawsze odprowadza ją do domu. Dzisiaj wyjątkowo niecierpliwi się.

— Cóż u licha tak długo męczą biedne dzieci w tej okropnej szkole, — denerwuje się czworonożny przyjaciel młodzieży. Wracam na stację.

— Dobra szkoła myślę, nie zgadzając się z Burkiem. Czy mam rację? Chyba tak.

Kg

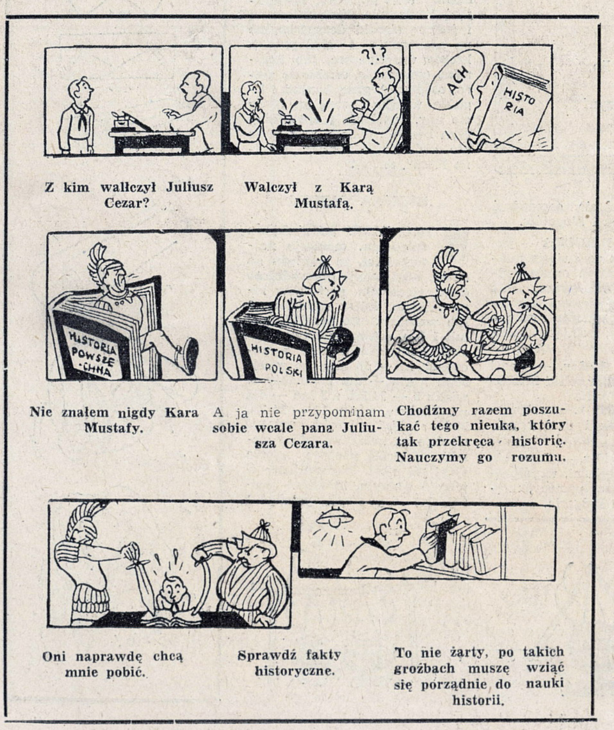

Jak się uczyć

W ZESZŁYM roku, tak jakoś w czasie wiosennych egzaminów, zjawiło się u mnie dwoje młodych pacjentów. Zwróciłem na nich specjalną uwagę — ponieważ zazwyczaj zgłaszają się do mnie ludzie starsi.

Z tych młodych pacjentów Jurek Bykowski skarżył się na silne bóle głowy, Irka Włodkówna twierdziła, że musi mieć w głowie „nie wszystko w porządku", ponieważ nigdy nie jest w stanie przerobić całego materiału z danego przedmiotu, że jest szalenie przemęczony i że egzaminy szkolne są w ogóle wadliwie rozplanowane.

Zaniepokoiłem się moimi pacjentami. Postanowiłem odwiedzić ich we własnych mieszkaniach, żeby zobaczyć na własne oczy co robią, jak pracują i jak spędzają dnie podczas wytężonej, przedegzaminacyjnej pracy.

Jurek Bykowski siedział przy stole z głową, owiązaną mokrym ręcznikiem.

— Całymi dniami kuję, jak dziki osioł — oznajmił mi na wstępie. Pracuję po 14 godzin dziennie. Aż głowa trzeszczy...

— Chwali ci się, że tak usilnie pracujesz — odrzekłem. — Egzaminy — to pole do popisu dla ucznia. To jego żniwa... Ale powinieneś sobie zdawać sprawę z tego, że praca nie polega na ilości, ale na jakości godzin, spędzonych nad książką. Wystarczy poświęcać nauce 8 godzin dziennie. Trzeba tylko, żeby te godziny przepracować rzetelnie.

— A jak to zrobić? — pyta Jurek.

— Pozwól chłopcze, że ci pomogę. Notuj.

I razem z Jurkiem ułożyliśmy co następuje:

Wstać, jak zwykle, o 7-ej. Niedobrze jest zmieniać tryb życia. Od 7 — 8: chwila gimnastyki, umycie się dokładne i porządne. Zjeść, nie śpiesząc się, śniadanie, i co najmniej 15 minut spędzić na dworze.

Nie należy zaraz po obudzeniu się siadać do książki. Ranek, spędzony w ten sposób, opłaci się stokrotnie.

Od 8 do 10 pierwszy okres pracy. — Pierwsze dwie godziny kucia. Nie będzie to za dużo. Należy od najmłodszych lat wciągać się do systematycznej pracy.

Pomiędzy 10-tą, a wpół do jedenastej — pierwsza pauza. Najlepiej spędzić ją na dworze, byle się nie przemęczać bieganiem, lub kopaniem piłki. Po zmęczeniu fizycznym należałoby bowiem drugie pół godziny odpoczywać.

Od wpół do jedenastej do wpół do pierwszej — drugi okres pracy.

Od wpół do pierwszej do pierwszej — znowu pauza — druga. Można poczytać, posłuchać radia. Pomóc matce w domowych zajęciach. Co kto woli, byle umysł przestawić na inne tory.

Od pierwszej do trzeciej — trzeci i ostatni — dzienny okres pracy.

Od trzeciej do wpół do szóstej — znowu pauza. Tym razem długa. Można pomóc matce w domowych zajęciach, można zjeść obiad, bardzo wskazaną jest krótka drzemka... Po drzemce dobrze robi szklanka herbaty i porządne wymycie się, jak rano, dla otrzeźwienia.

Od 5,30 do 7,30 min. — pierwszy okres pracy wieczorowej.

Od 7,30 do 8-ej — znowu przerwa, którą należy spędzać na dworze. Wieczery bywają chłodne i przyjemne. Odpoczynek taki mocno orzeźwi.

Od 8 do 9 — drugi i ostatni okres pracy wieczorowej. Potem krótki spacer i — spać. Przed snem należy się koniecznie przejść. Inaczej, umysł odpowiednio nastawiony, będzie bez naszej świadomości pracował podczas naszego snu.

X

IRKĘ Włodkówną zastałem siedzącą w kucki na podłodze i kiwającą się, jak derwisz. Powtarzała monotonnym głosem, jak ten słynny uczeń, co to wiecie... (koń ma cztery nogi i ogon, koń ma cztery nogi i ogon — jej, jakie to trudne)...

a plus b do kwadratu, równa się a kwadrat plus ab plus b kwadrat... równa się dwa ab plus b kwadrat...

— Irka — przerwałem — czy ty doprawdy tego nie umiesz? Irka zaczerwieniła się.

— Naturalnie, że umiem — odrzekła — tylko powtarzam, bo powtarzam w ogóle wszystko.

Od razu pojąłem, dlaczego Irka nigdy całego materiału powtórzyć nie może, i poradziłem jej, żeby odtąd najpierw powtarzała tylko to, czego nie umie, lub co umie gorzej. Dobrze znanych rzeczy — można albo nie powtarzać wcale, albo zostawić je na sam koniec. Tak bowiem zazwyczaj się zdarza, że te „nie umiane" rzeczy — najłatwiej wychodzą na jaw w czasie egzaminu.

A jeśli porządnie „obkujemy" to, czegośmy dotąd nie zdążyli przerobić, to nie będziemy mieli powodu do obawy.

Dr S. GWOŹDZIC

Spotkamy się przy gajówce...

MY chcemy wykapkę! My checemy do lasu! — wołał zastęp na jednej ze zbiórek. Stefek drapał się w głowę. Program pracy zastępu przewidywał jednak wycieczkę do lasu. Należało ją więc zrobić. Jego zastęp zaczął zdobywać sprawność przyjaciela wiosny. Wycieczka mogłaby w tym pomóc.

—oOo—

PLAN wycieczki był szczegółowo opracowany przez zastępowych na Radzie Drużyny. Pierwsza wycieczka zastępu powinna być dobrze przygotowana, gdyż decyduje to do pewnego stopnia o dalszej akcji wycieczkowej. Zastępowi miał towarzyszyć przyboczny Władek.

—oOo—

ZASTĘP „Węglarzy" zebrał się o godzinie 8-ej rano w szkolnej altanie. Byli wszyscy. Krótka zbiórka. przegląd wyekwipowania. Było sporo braków.

Pamiętając o przysłowiu: „co rano waży 1 deko — wieczorem waży kilogram", część zbędnych rzeczy odniesiono do izby harcerskiej (por. „Fatalna Koza", str. 9). Stefek z wesołą miną wyznaczył oś marszu i szyk posuwania się.

— Uwaga! Idziemy trójkami- I pamiętajmy o naszej sprawności „przyjaciela wiosny"! W związku z tym pierwsza trójka zrobi mały zielnik ze swej trasy, druga trójka narysuje sylwetki spotykanych po drodze drzew, trzecia — zwróci uwagę na ptaki, ich życie, zwyczaje, a może nauczy się naśladować ich głosy i uplecie jedno gniazdko według własnego pomysłu, które zawiesi na pierwszym drzewie w lesie.

Mamy przed sobą około godziny marszu. Spotkamy się przy gajówce na skraju lasu. A więc w drogę, chłopaki! Czuwaj!

—oOo—

MIMO niewielkiej stosunkowo odległości, chłopcy przyszli troszkę pomęczeni. Po krótkim odpoczynku i śniadaniu Stefek powiedział:

— Musimy teraz zabrać się do urządzenia małego biwaku.

Robota szła sprawnie, wkrótce dymiła kuchnia. Na obiad zaproszono gajowego, który na prośbę Stefka opowiedział chłopcom o wielu ciekawych tajemnicach lasu. Po posiłku gajowy poprowadził chłopców do szkółki, zwracając ich uwagę na „wielopiętrowość" lasu, omawiając szczegółowo wysokość różnych roślin i głębokość ich korzeni.

Szkółka, jak się okazało, była nieco zaniedbana... Stefek żywo zakrzątnął się i po chwili w każdym rzędzie nowych sadzonek stał jeden chłopiec. Zrobiono małą rywalizację.

— Kto pierwszy oczyści z chwastów swój rządek! Praca trwała tylko trzy kwadranse, a dała dobre rezultaty. Obiecano gajowemu, że następną wycieczkę (a zapowiadała się dwudniowa wycieczka drużyny) poświęcą pracy w szkółce.

—oOo—

ZA kilka dni na zbiórce drużyny zastęp „Węglarzy" pochwalił się swymi wycieczkowymi osiągnięciami. Był zielnik, gazetka przyrodnicza, były notatki z rysunkiem ptaków, roślin i drzew, z ich opisami. Ktoś nawet znalazł sporo różnych piór ptasich — zaczęto je rozpoznawać, Antek bez ustanku popisywał się gwizdem, usiłując wmówić we wszystkich, że naśladuje kosa. Nikt nie wierzył, ale Antek powiedział, że sam przekona niedowiarków na następnej wycieczce. „Przyjaciele wiosny" czekali na nią z niecierpliwością.

Jerzy Kasprzak.

18. SPORTOWY MARSZ

Tekst W. LEBIEDIEW KUMACZ
Tłum. W. WOROSZYLSKI

Muz. I. DUNAJEWSKI

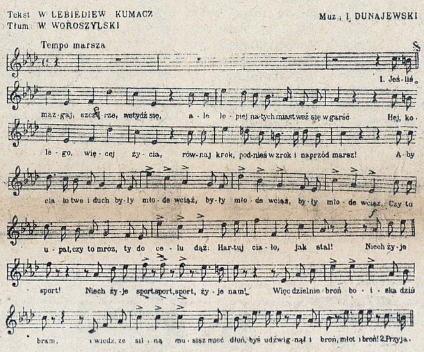

Przyjacielem stań się wody
I ze słońcem bądź zawsze za pan brat!
Nawet starzec też jest młody,
Jeśli kocha wesoły letni wiatr!
Refren:...

Każda sprawa będzie prosta,
Jeśli mięśnie są kłębkiem mocnych lin,
Do przestworzy chcesz się dostać:
Nic nie gadaj, lecz zdobądź się na czyn!
Refren:...

Co radzi KALENDARZ

26 maja przypada ŚWIĘTO MATKI. — Pewnie w wielu szkołach i drużynach będą zorganizowane akademie, ogniska, obchody. Ale to nie wszystko. Dobrze byłoby, gdyby każdy z was zrobił choćby drobną przyjemność tej, która naprawdę ciągle o was myśli i żeby starał się oszczędzać jej zmartwień i kłopotów.

TYDZIEŃ DZIECKA — następuje zaraz po święcie matki. Warto w tym czasie podjąć specjalne prace, dla przedszkoli, żłobków, domów dziecka. Szczególnie myślą o tym drużyny, pełniące służbę dziecka.

24 maja 1543 r. — zmarł wielki astronom polski MIKOŁAJ KOPERNIK.

29 maja 1861 r. zmarł wybitny historyk i uczony polski, Joachim Lelewel.

29 maja 1948 r. — Zawarcie układu o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy, między Polską a Bułgarią.

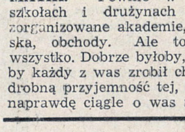

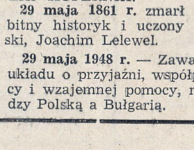

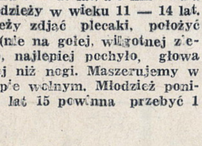

Pamiętajcie wycieczkowicze!

PRZED każdą wycieczką, a tym bardziej przed biwakiem, musimy nakreślić cel i dokładny program. Trzeba ustalić organizację i koszty. Prace przygotowawcze rozdzielamy między uczestników: opracowanie trasy według mapy, ustalenie rozkładu jazdy pociągów i kosztów, ułożenie jadłospisu, przygotowanie sprzętu technicznego.

EKWIPUNEK OSOBISTY

MŁODZIEŻ harcerska bierze oczywiście mundury. Poza tym najpraktyczniejszym strojem dla chłopca będą krótkie spodenki i koszulka sportowa oraz kurtka, dla dziewcząt spódniczka do kolan, lekka jasna bluzka i płaszcz, obuwie najlepiej stare, już rozchodzone, jednak całe (dobre są pantofle płócienne), plecak uszyty w domu, w formie ściąganego worka z szerokimi pasami (by nie wpijały się w ramiona), a w plecaku: zapasową parę skarpetek,

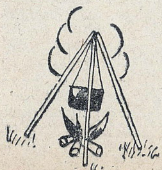

koszulkę lub bluzkę, kostium kąpielowy, ręcznik, mydło, przybory do jedzenia, przybory do szycia. W woreczkach zaciąganych sznurkiem znajduje się prowiant, na biwak konieczny jest koc. (Patrz „Fatalna koza", str. 9).

EKWIPUNEK OGÓLNY

NA ZASTĘP złożony z 8—10 osób, powinno się zabrać następujący sprzęt biwakowy: dwie łopatki, 2 toporki, 2 kociołki 5-litr., kompas, mapę okolicy oraz apteczkę, zawierającą koniecznie wodę utlenioną i jodynę (środki dezynfekcyjne na zadrapania i skaleczenia), krople walerianowe, lub koraminę (zmęczenie, osłabienie serca, omdlenie), gazę, bandaż i ligninę, wazelinę borną (na obtarcie nóg, opalenia i oparzenia), płyn Burowa (okłady na stłuczenie, zwichnięcie). (Patrz „Fatalna Koza", str. 9).

HIGIENA MARSZU

WYRUSZAMY po zjedzeniu śniadania, możliwie najwcześniej, ze względu na chłód, nogi umyte poprzedniego dnia wieczorem, nacieramy rano talkiem, łojem salicylowym lub wazeliną. Po przejściu pół lub 1 km, robimy pierwszy postój. Następnie dajemy wypoczynek 10 — 15 min. po przejściu: 2 km — dla młodzieży w wieku 8 — 10 lat, a 3 km — dla młodzieży w wieku 11 — 14 lat. Należy zdjąć plecaki, położyć się (nie na gołej, wilgotnej ziemi!), najlepiej pochyło, głowa niżej niż nogi. Maszerujemy w tempie wolnym. Młodzież poniżej lat 15 powinna przebyć 1 km w 14 min., poniżej 12 lat w 16 minut.

URZĄDZANIE BIWAKU

JEŚLI wycieczka jest dłuższa, połączona z nocowaniem, rozbijamy biwak. Miejsce na biwak wybieramy suche, dobrze nasłonecznione (stok południowy), blisko wody i lasu. Przygotowujemy od razu najkonieczniejsze urządzenia: kuchnię, dół na śmieci, szałasy lub namioty. Na biwaku można zastosować trzy rodzaje kuchni: ognisko, kuchnia nad ziemią, kuchnia pod powierzchnią. Zakładamy kuchnię w ten sposób, by wiatr przebiegał wzdłuż niej. Najprostszym przygotowaniem legowiska jest wyścielenie wnętrza namiotu lub szałasu cienkimi gałązkami drzew iglastych, suchym mchem lub wrzosem, trawą lub sianem. Dobrze jest przygotować sobie śpiwór, zeszywając koc w formę worka.

B. T.

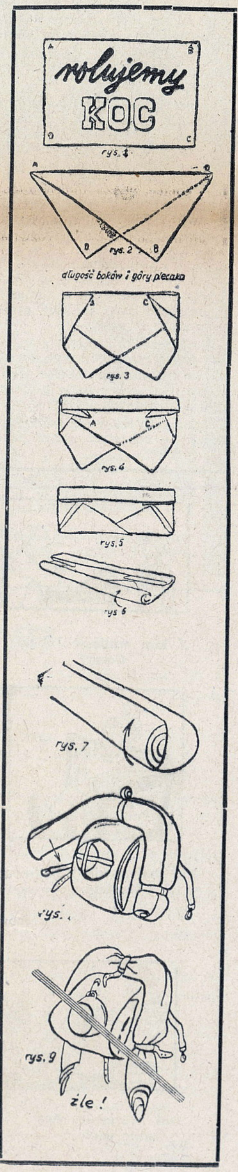

SPRAWA JEST JASNA

„Zgodnie z załączoną rezolucją Ogólnopolskiej Konferencji instruktorskiej zgłaszamy wystąpienie harcerek polskich ze Światowego Związku Skautek.

Głęboka analiza treści i metod wychowania skautowego doprowadziła nas do wniosku, że skauting, którego kolebką była zaborcza imperialistyczna wojna, pozostaje w dalszym ciągu wyrazem dążeń ustroju kapitalistycznego na odcinku wychowania młodzieży

W czasie, gdy podżegacze wojenni prowadzą swoje zbrodnicze spiski przeciw pokojowi, gdy wskutek tego świat cały dzieli się na obóz wojny i wyzysku, oraz potężniejący z dnia na dzień, obóz pokoju i sprawiedliwości, milczenie Biura Światowego nabiera głębokiej wymowy, potwierdzając faktyczny związek skautingu z opartym na krzywdzie i wyzysku obozem imperialistów. Wobec jawnej wrogości tego obozu w stosunku do budującej się Polski Ludowej nasz prosty patriotyczny obowiązek nakazuje nam zająć negatywne stanowisko w stosunku do Biura Światowego

Polska młodzież walczy o sprawiedliwy porządek społeczny, o pokój i prawdziwe braterstwo wszystkich narodów.

Zrywając ze skautingiem wzmacniamy nasz związek ze Światową Federacją Młodzieży Demokratycznej, której cele są naszymi celami. Gruntujemy w sercach i myślach polskiej młodzieży głęboko moralne zasady ustroju socjalistycznego.

Podając naszą decyzję do wiadomości Organizacji Skautowych wzywamy wszystkich postępowych wychowawców i młodzież. której naprawdę drogie i bliskie są hasła braterstwa do pracy i walki w szeregach Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej“.

TAK napisaliśmy w liście wysłanym do **Biura Skautek** w Londynie wtedy gdy w Paryżu obradował **Kongres Pokoju.**

Sprawa jest jasna:

Zaraz po wojnie w 45 roku wydawało się nam, że wszystkie państwa które razem walczyły z faszyzmem niemieckim

WIKTORIA DEWITZOWA
Członek Naczelnictwa ZHP
była Naczelniczka Harcerek

oprą swoje stosunki na trwałej współpracy i wspólnej obronie pokoju.

Domagali się tego ludzie pracy we wszystkich krajach.

Teraz budować będziemy prawdziwe braterstwo — myśleliśmy nawiązując łączność z międzynarodowym Biurem Skautowym. Już wtedy jednak zdradziło ono swoje właściwe oblicze. W Londynie i Paryżu długo zastanawiano się czy dopuścić do współpracy demokratyczne harcerstwo polskie.

Mówiło ono przecież, że **trzeba walczyć dalej, że trzeba budować sprawiedliwy ustrój na miejsce dawnego opartego na krzywdzie wyzysku.** To były niebezpieczne, obce skautingowi hasła.

Harcerzom Polski Ludowej zamknięto więc wstęp na Jamboo.

Na konferencjach skautek wymownym milczeniem pomijano wszystkie zahaczające politykę sprawy.

Dziś wiemy jakie były tego głębokie przyczyny. Piszemy o tym w liście: **skauting jest w dalszym ciągu wyrazem dążeń ustroju kapitalistycznego.**

Młodzież na własnej skórze poczuła smak wojny. Na całym świecie trwa dziś potężna walka o pokój.

Biuro skautowe milczy, nie zgłosiło swego udziału w Kongresie Pokoju.

W Ameryce morduje się murzynów, w Indonezji na spokojne miasta i wsie spadają holenderskie bomby.

Biuro skautowe milczy.

W Grecji, Hiszpanii w więzieniach ginie dziesiątki młodych partyzantów z rąk faszystów.

Biuro skautowe milczy.

Zato na zbiórkach skautowych i tych dobrze ubranych dzieci, mówi się dalej „o braterstwie skautowym“.

Wiemy już co się za tym kryje.

Sprawa jasna: **Skauting stoi po stronie bloku kapitalistów wrogich Polsce, wrogich Związkowi Radzieckiemu, wrogich siłom postępu własnych krajów;**

— My uczymy się i pracujemy, żeby budować sprawiedliwy ustrój, wiemy, jak trzeba go bronić i stajemy w szeregach Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej do walki o pokój i postęp;

— NASZE DROGI IDĄ W PRZECIWNYCH KIERUNKACH.

DŁUTO i PALETA

Miejsce: Pierwsza Ogólnopolska Wystawa Amatorów Plastyków. urządzona staraniem KCZZ w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Czas: Godzina 15-ta.

Osoby: Ojciec i syn.

Chodzą po jasnych, przestronnych salach. Zatrzymują się przed wiszącymi na ścianach obrazami. Dzielą się uwagami. Są pochłonięci oglądaniem obrazów i bardzo przejęci.

Ojciec: — Za moich młodych lat nikt się nie interesował twórczością robotników. Nikt im nie pomagał w rozwijaniu wrodzonych zdolności, w kształceniu się. A byli ludzie zdolni! Pamiętam, mój kolega, razem żeśmy pracowali na budowie,— jak się dorwał do ołówka i papieru, ech, co tam do ołówka, jego zwykły patyk, okopcony na końcu wystarczał...

Syn: — No i co? Został malarzem?

Ojciec: potrząsa przecząco głowa. — Nie. Gdzie i kiedy miał się uczyć? No i — za co? To, co zarabiał, ledwie wystarczało na utrzymanie domu. Ale pisał mi niedawno z Łodzi, bo tam teraz pracuje, że maluje w dalszym ciągu, że była u nich w świetlicy fabrycznej wystawa, że zwrócono uwagę na jego prace i związek zawodowy zajął się jego kształceniem. Chodzi teraz na kurs, gdzie on i jego koledzy z fabryki uczą się pod kierownictwem artystów - malarzy.

Syn: Może i jego prace są na tej wystawie?

Ojciec: Ano, poszukamy.

*

Jak wielką wagę przywiązuje się w Polsce Ludowej do twórczości artystycznej ludzi pracy, świadczy fakt, że protektorat nad wystawą objął: **Prezydent RP Bolesław Bierut.**

Na otwarciu wystawy powiedział wicepremier **Zawadzki:** „Polska Ludowa stwarza coraz szersze warunki dla ujawnienia i rozwoju ukrytych i marnowanych w ustroju kapitalistycznym talentów wśród mas pracujących i młodzieży robotniczo-chłopskiej“.

Praca artystów-amatorów, zarówno obrazy olejne, akwarele, grafika, jak rzeźba i zdobnictwo stoją na bardzo wysokim poziomie.

Ciekawe są tematy. Robotnicy tworzą obrazy, związane ze swoją pracą. Górnicy — malują kopalnie, rzeźbią w węglu, robotnicy fabryczni — fabrykę, pracę przy maszynach, robotnicy portowi — pracę w porcie, morze. Wszyscy przedstawiają codzienne życie, trud sprawy bliskie i dobrze im znane.

WANDA CHOTOMSKA

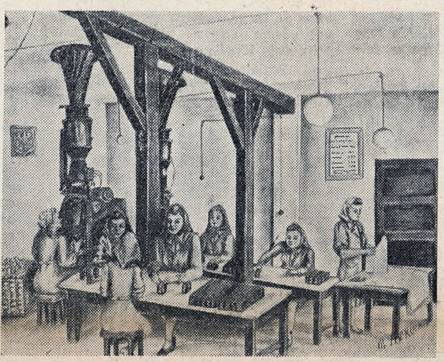

„Paczkarnia“ robiona kredką wykonana przez Marię Zborucką — robotnicę Łódzkiego Przemysłu Spożywczego

Górnik z „piką“ (młotkiem pneumatycznym). Rzeźba w węglu wykonana przez górnika Piotra Latoska.

ŁAPIEMY RYBY

W okresie wiosennym i letnim, często znajdujemy się nad brzegami wód. Nie jeden z Was. chciałby łapać wtedy ryby. Zabranie ze sobą na każdą wycieczkę wędki, długich kijków jest kłopotliwe. Dlatego nauczmy się dzisiaj łapania ryb bez wędki.

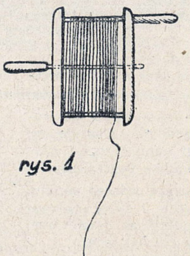

rys. 1

ŁOWIENIE NA KOŁOWROTEK

Tym sposobem najlepiej łapać ryby z łódki. Pływając po rzece lub jeziorze łódką, możemy łapać ryby przy pomocy kołowrotka z takich miejsc, których nie dosięgnęlibyśmy wędką.

Kołowrotek (rys. 1) jest to szpula, którą rybak trzyma w czasie łowienia w ręku. Na nim nawinięta jest żyłka, zakończona stalową linką i błyszczką z haczykiem.

Jeżeli jezioro lub rzeka jest głębokie, to żyłkę przedłużamy woskowanym szpagatem. Budowę kołowrotka wyjaśnia dokładnie rysunek: nie trudno będzie zrobić to samemu.

Żyłka powinna być mocna, przezroczysta, o długości do 70 m, drucik długości 30 — 50 cm.

Błyszczki można również zrobić samemu. Wycinamy je z cienkiej, błyszczącej blachy o kształtach jak na rysunku nr 2.

W dni jasne, słoneczne ryby lepiej bierze się na błyszczki żółte, w dni pochmurne na błyszczki białe.

Na połów wyjeżdżamy we dwóch. Jeden wiosłuje, drugi siedzi na rufie i spuściwszy żyłkę z kołowrotka, prowadzi błyszczkę za łódką. Błyszczka obraca się w wodzie i wygląda jak żywa rybka, służąc za przynętę szczupakom i okoniom.

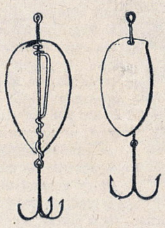

Najlepszy okres na łowienie ryb tym sposobem, to sierpień.

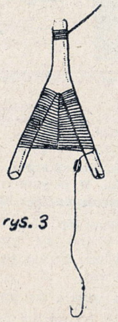

rys. 3

ŻERLICA

Żerlica, to nieduże widełki z nawiniętym, mocnym, sznurkiem, zakończonym stalowym drutem z haczykiem (rys. 3).

Długość sznura 10—15 cm. Żerlicę z przyczepionym do haczyka żywcem (żywa niewielka rybka, złowiona siatką), przywiązujemy do kołka, który wbijamy w dno niedaleko od brzegu, w miejscach zarośniętych trawą lub pod zwisającymi nad wodą gałęziami drzew. Są to miejsca najbardziej lubiane przez szczupaki i okonie.

Żywą rybkę puszczamy tak, aby nie dosięgała dna. Sznur umocowujemy w zacięciu widełek, co zapobiegnie jego rozwijaniu się. Szczupak chwyciwszy żywca ucieka, rozplątując linkę. W czasie tej ucieczki połyka rybkę wraz z haczykiem.

Żerlice przywiązywać możemy również do pni drzew i zwisających gałęzi.

Na rys. 5 pokazane są dwa sposoby zaczepiania żywca na haczyk.

ŁOWIENIE na PŁYWAKI

Trzecim sposobem łowienia ryb bez wędki, jest łowienie na pływające krążki. Krążki, to rodzaj pływającej żerlicy. Przy pomocy krążków, możemy łowić ryby jedynie na wodzie stojącej.

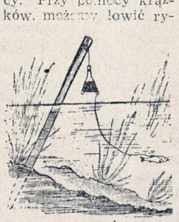

rys 4

Krążek jest to płaska szpulka o średnicy 15—18 cm. (rys. 6), pomalowany z jednej strony na biało, z drugiej na czerwono. Na nim nawinięty jest sznur lub żyłka ze stalowym drucikiem i haczykiem. W środek drążka wstawiony jest patyczek. Na górnym jego końcu znajduje się zacięcie do umocowania sznurka, — na dolnym ciężarek.

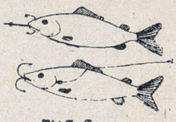

rys. 5

Kiedy szczupak chwyci żywca, krążek przewraca się do góry dnem, tj. pokazuje drugi kolor, a linka rozwija się do końca. Rybak, widząc odwrócony krążek, podpływa, i wyciąga go z wody razem ze zdobyczą

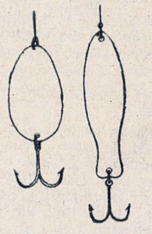

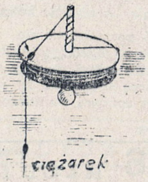

Leszek Błaszczyk

DYSK

Opowiadanie

ODDAWNA marzyliśmy o dysku. Prawdziwym dysku. Takim, jakiego używa się na zawodach lekkoatletycznych. Często chodziłem z kolegami na Piotrkowską oglądać wystawy sklepów sportowych. Obok przeróżnego sprzętu oczy nasze wabił dysk. Nie ten duży, dla dorosłych, ale ten mniejszy — 600 gramowy. Od kilku miesięcy, zbieraliśmy pieniądze, wciąż jednak była to śmiesznie mała suma w porównaniu z ceną, jaka widniała na wystawie.

×

To było w niedzielę rano. Na placu (miejsce naszych gier i zabaw) zebrało się nas z dziesięciu. Kilku trenowało skoki i rzucało kamieniem, który u nas służył za kulę. Przygotowywali się oni do zawodów lekkoatletycznych, które miały się odbyć tego dnia po południu między naszą ulicą i Pograniczna. Miała to być pierwsza próba naszych sił z tak poważnym przeciwnikiem. Marzyliśmy w skrytości ducha o zwycięstwie. Głośno jednak nikt o tym nie mówił. W rzeczywiści mieliśmy co najwyżej szanse na honorową przegraną. Mogliśmy wygrać jedynie skoki, a może też biegi na pięćdziesiąt i tysiąc metrów, może nawet sztafetę.

Prawdopodobnie nigdy nie pamiętałbym tych zawodów, gdyby nie dysk. Dysk — to był po prostu płaski okrągły kamień. Wyszukał go Janek. Przybiegł kiedyś na plac i z daleka już krzyczał:

— Co ja mam, co ja mam! — i machał przy tym ręką, trzymając w niej okrągły, szarawo-brązowy przedmiot. Z początku nie bardzo wiedzieliśmy, o co Jankowi chodzi. Z powodu jakiegoś tam zwykłego kamienia robić takie wrzaski? To nawet nam dwunastoletnim chłopcom wydawało się mocno niepoważne. A Janek tymczasem stanął obok nas i łypnął triumfalnie okiem.

— No co, dobra rzecz? — zapytał tak, jakby był co najmniej kapitanem naszej drużyny piłkarskiej.

— Phiii... kamień — lekceważąco odezwał się Mietek. My też nie bardzo rozumieliśmy, dlaczego Janek tak zachwala ten kamienny krążek.

— Durnie — rozłościł się Janek. Wziął w rękę przedmiot naszej pogardy, zamachnął się i...

— Dysk! — ryknęliśmy jednocześnie. Rzucaliśmy nim wtedy chyba ze dwie godziny. Odtąd ten kamień był dla nas milszy i cenniejszy, niż wszystko inne.

Ale wróćmy jednak do dnia zawodów.

Stałem na uboczu, obserwując trenujących kolegów. Felkowi znudziło się rzucanie kulą, położył ją więc obok mnie koło dysku. Wtedy skoczyła mi do głowy głupia myśl — rzucić kulą w dysk. Czy się rozbije? Nie namyślając się, podniosłem kulę i za chwilę ze zgrozą ujrzałem nasz piękny dysk, naszą dumę, w kawałkach.

Od razu zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem. Pierwszą moją myślą było — „ale dostaniesz teraz „wciry“. Uciekłem do domu. Usiadłem przy otwartym oknie, obserwując kolegów na placu.

Z początku nic się nie zmieniło. Jednak po kilku minutach, koło okruchów dysku zebrał się cały nasz „klub“. Było rzeczą oczywistą, że wiedzieli już, kto jest sprawcą smutnego kawału. Nie chcąc, by mnie zauważyli, przezornie odszedłem od okna. Wziąłem jakąś gazetę do ręki, ale nie mogłem czytać. Cały czas myślałem, co oni zrobią? Wkrótce miałem na to odpowiedź. W stronę drewnianego, piętrowego domu, gdzie mieszkałem, szedł Wacek, Gienek i Jurek. Stanęli przed domem krzyknęli:

— Franek!

Niepewnie zbliżyłem się do okna. Powitały mnie okrzyki nie wróżące niczego dobrego.

— Tylko wyjdziesz, to my ci pokażemy — krzyczał najgłośniej Wacek, robiąc przy tym wymowny gest ręką, który oznaczał poprostu: „dostaniesz od nas porządne baty“.

Nie odzywając się ani słowem, odszedłem od okna. Wcale nie ze strachu. Byłem gotów ponieść najcięższą karę. Nie miałbym żalu do kolegów, gdyby to miałaby być nawet „ręczna kara“. Było mi strasznie wstyd.

Za to, że tak zrobiłem, że pozbawiłem nasz „klub“ najcenniejszej rzeczy, jaką miał — dysku. Moi koledzy pokrzyczeli jeszcze trochę i odeszli. A ja?

Położyłem się na otomanie i myślałem. Za kilka godzin będą zawody, a mnie najlepszego skoczka i biegacza na „setkę“ nie będzie. Poniesiemy gorszą klęskę niż przewidywaliśmy. Cały czas zastanawiałem się nad tym, co zrobić, aby móc wziąć udział w zawodach. Byłbym wyszedł. Ale kto wie? Dostanę „lanie“ i później jeszcze nikt do mnie nie będzie chciał się odezwać. Nie wiedziałem co robić.

Zbliżała się godzina zawodów. W domu na obiad były pierogi z truskawkami — moja ulubiona potrawa. Ale tego dnia nie miałem apetytu, Aż matka dziwiła się. Gdyby wiedziała...

Po obiedzie siedziałem cicho, udając, że czytam książkę. Ojciec zerkał tylko na mnie spod oka. Podejrzewał, że coś nie jest w porządku. W pewnej chwili znów usłyszałem wołanie z ulicy: Franek!

...podniosłem kulę i za chwilę ze zgrozą ujrzałem nasz piękny dysk w kawałkach

Nie zbliżyłem się jednak do okna. Wołanie powtórzyło się tym razem na korytarzu. Udałem, że nie słyszę. Mama zniecierpliwiła się.

— Idźże no, wołają cię przecież.

— Nie pójdę, bo mi się nie chce.

— To wyjdź i powiedz im i niech nie wrzeszczą

Czułem się bardzo głupio. Nie wiedziałem, co robić. Naraz ktoś zapukał do drzwi. Spojrzałem i „zdębiałem“. Do mieszkania wszedł Heniek. W pierwszej chwili nie chciało mi się wierzyć, gdy Heniek zwrócił się do mnie:

— Czemu nie idziesz? Przecież dostaniemy setne „lanie“ od tych Pograniczniaków, a co do dysku, to nie martw się. Niech cię tylko kto ruszy! — i mrugnął po łobuzersku okiem. Omal, że nie skoczyłem z radości, więc będę startował w dzisiejszych zawodach! Co za szczęście!

Tymczasem ojciec wyraźnie zainteresowany naszą rozmową, zagadnął Henka:

— Co tam znów za konszachty macie między sobą. Gadaj no mi tu zaraz.

— Iii... drobnostka — mruknął Heniek — Franek potłukł nam dysk i chcieliśmy go za to sprać, ale już wszystko załatwione, nawet nie ma o czym gadać.

Złapałem pantofle, spodenki gimnastyczne i biegiem „zlecieliśmy“ po schodach.

Na placu była już cała nasza paczka. Za pół godziny mieli przyjść ci z Pogranicznej. Zebrani w kręgu ustalaliśmy ostateczny skład reprezentacji. Według przewidywań, mogliśmy liczyć na przegraną z różnicą zaledwie kilku punktów Jedynie Gienek był optymistą i przepowiadał zwycięstwo.

Zjawili się wreszcie i „pograniczniacy“. Było ich dziewięciu i gromada kibiców. Na pierwszy ogień miała iść „pięćdziesiątka“, to znaczy bieg od początku do końca placu.

Zawodnicy przygotowywali się już do startu. Imponująco wyglądało jak ćwiczyli, robili dołki startowe. Zupełnie jak jak na prawdziwych zawodach.

Od nas startował Wacek i Gienek. Liczyliśmy, że w biegu zajmiemy drugie i trzecie miejsce. Dałoby to nam w sumie pięć punktów. Wszyscy z napięciem czekali na start. Sędzia z powagą nabił korkowiec.

— Uwagaaa... do biegu... gotowi... traaaach!!!!

Zawodnicy pomknęli z szybkością conajmniej lukstorpedy, kursującej na trasie Łódź — Warszawa. Na „trybunach“ wrzask.

— Gie-nek, Gie-nek, — skandowaliśmy razem, tak głośno, że kibice z Pogranicznej nie mogli nas przekrzyczeć. Tymczasem na trasie trwała walka. Od początku prowadził jeden z Pogranicznej, jednak Gienek coraz bardziej zbliżał się do niego. Jeszcze dwadzieścia metrów do mety. Jeszcze piętnaście... Gienek równa się z „pograniczniakiem“! Mija go! Wpada na metę! Jest pierwszy! Szalejemy po prostu z radości. Pierwsze nasze zwycięstwo. Podrzucamy Gienka do góry. Rysiek, zwany przez nas „mazgajem“, ma łzy w oczach, ale nikt się z niego nie śmieje. Bo to przecież łzy radości.

Za chwilę sędzia przez wielką tekturową tubę odczytuje wyniki. Okazuje się, że Wacek przybiegł trzeci. Drugie i ostatnie miejsce zajęła ulica Pograniczna.

Mamy więc przewagę jednego punktu. Liczono w ten sposób, że za pierwsze miejsce były 4 punkty, za drugie trzy, za trzecie dwa i za czwarte jeden.

Jednak w kilka minut później przekonaliśmy się, ile mądrości zawiera przysłowie: „ten się śmieje, kto się ostatni śmieje“. Bo następne trzy konkurencje przegraliśmy sromotnie, zajmując dwa ostatnie miejsca. Jedynie Zenkowi udało się w biegu na 400 metrów zająć trzecie miej sce. Wynik brzmiał 25 do 14 pkt., na korzyść Pogranicznej. Liczyliśmy na to, że może jeszcze w setce i skokach zajmiemy lepsze miejsca.

Zbliżał się start do biegu na sto metrów, w którym miałem brać udział. Biegł ze mną jeszcze Jurek. „Pograniczniacy“ wystawili do biegu Jędrka Karłowicza, który w zeszłym roku na ogólnoulicznych zawodach zajął drugie miejsce. Oczywiście liczyli na zwycięstwo swego kolegi. Jędrek był wyższy ode mnie i miał strasz nie długie nogi, które zjednały mu mój szacunek. Ale nie traciłem nadziei. Tak chciałem wygrać ten bieg! Chciałem pokazać kolegom, że jestem godnym członkiem naszego „Koleżeńskiego Klubu Sportowego“.

Stanęliśmy na starcie. Nikt nie liczył na moje zwycięstwo. Chyba najwyżej na drugie miejsce. Znów sakramentalne słowa sędziego, wystrzał i pomknęliśmy naprzód.

Jędrek wyraźnie zlekceważył mnie, bo już od startu pozwolił mi biec obok siebie, licząc na to, że na finiszu wysunie się naprzód. Ale przeliczył się. Bo gdy zaczął mnie doganiać, zwiększyłem tempo, nie dając się minąć. Na jakieś trzydzieści metrów od mety wyprzedził mnie nieznacznie. Wytężyłem wszystkie siły i uczułem raczej, niż spostrzegłem, białą tasiemkę na piersiach. Byłem nieprzytomny ze szczęścia. A Rysiek „mazgaj“ znów płakał.

Zbliżał się koniec zawodów. Wygraliśmy jeszcze skoki, sztafetę i bieg na tysiąc metrów. Zwyciężyliśmy! Wynik brzmiał 56:44 punktów na naszą korzyść.

Nasi przeciwnicy ze spuszczonymi na „kwintę“ nosami schodzili z placu. Takiej porażki nie spodziewał się nikt.

Upojony zwycięstwem wróciłem do domu. Byłem zmęczony. Przypomniała mi się historia z dyskiem. Nie dawała mi spokoju. Wreszcie powziąłem decyzję...

×

Dnie upływały nam różnie. Ale zawsze tak, że każdego dnia wracałem wieczorem do domu, bardziej zadowolony z siebie i kolegów. Minęły trzy tygodnie. Klub nasz nie przestał myśleć o własnym dysku. Urządziliśmy nawet przedstawienie pod tytułem „Młody bohater“, napisane przez Wieśka — starszego brata Janka. Ten nasz występ zjednał nam wielu przyjaciół wśród starszych. Matki już coraz rzadziej mówiły: „skaranie boskie z tym chłopakiem“.

Teatr nasz urządziliśmy pod gołym niebem w ogrodzie pana Jeliniaka, który dając na to zezwolenie, wyraźnie zaznaczył: „byłoby mi bardzo przykro, gdybyście obrywali kwiaty“. W dniu przedstawienia specjalnie wyznaczona straż porządkowa czuwała nad tym, aby zostawić ogród w należytym porządku.

Po przedstawieniu (wejście kosztowało 10 gr. dla dorosłych, 5 gr. dla młodzieży) mieliśmy już sporą sumkę pieniędzy. Było ich tyle, że mogliśmy kupić nasz wymarzony dysk.

Pewnego dnia siedzieliśmy jak zwykle w rogu placu, gdy Wojtek spod czternastego przyleciał zdyszany.

— W naszym domu policja! Zabrali Rakowskiego! — wyrzucił z siebie jednym tchem. Rakowskiego znaliśmy wszyscy. Był przez nas bardzo lubiany, bo zawsze interesował się naszymi „podwórzowymi sprawami“ jak nikt ze starszych. W domu ojciec czasem łączył jego nazwisko to z jakimś strajkiem w fabryce, to z aresztowaniem lub z zebraniami.

Pobiegliśmy jak jeden. Z bramy trzech policjantów wyprowadziło Rakowskiego. Na rękach miał kajdanki. Za policjantami biegla Rakowska z małym Józkiem na ręku.

— Stefan! Puśćcie Stefana!

Jeden z policjantów ordynarnie ją odepchnął, mało nie upadła. Gienek splunął z pogardą.

— Skurczybyk — przeklął dziwnie poważnym i dorosłym głosem.

Udaliśmy się z powrotem na plac. Ale jakoś rozmowa nie kleiła się. Sprawa dysku odeszła na drugi plan. Nagle Rysiek „mazgaj“ nieśmiało powiedział, jąkając się:

— Wiecie, a może by tak, te pieniądze, wiecie, co na dysk, dać Rakowskiej?

Teraz, gdy już mamy pieniądze, gdy nasze marzenie może się stać rzeczywistością, mamy się go wyrzec? Była to ciężka sprawa. Ale z drugiej strony trze ba przecież pomóc Rakowskiej. Tego dnia jednak nic nie postanowiliśmy.

Na drugi dzień prosto ze szkoły poszedłem na Piotrkowską. Chciałem obejrzeć dysk, który miał się stać niedługo naszą własnością. Zdziwiła mnie trochę obecność Gieńka niedaleko sklepu sportowego.

dokończenie obok →

STOI NA STACJI — LOKOMOTYWA

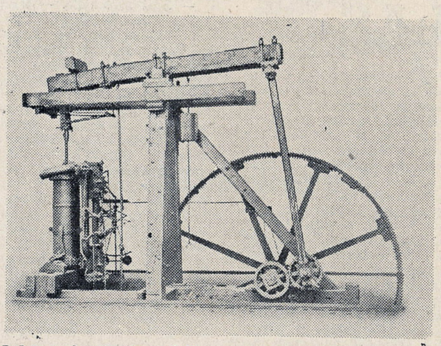

Jeden z pierwszych modeli maszyny parowej skonstruowany przez Jamesa Watta.

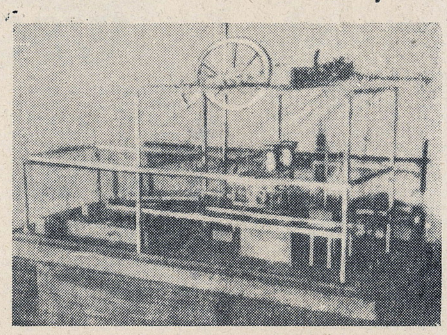

W Instytucie Politechnicznym w Moskwie wystawiono makietę cieplnej instalacji napędowej wielkiego wynalazcy rosyjskiego I. Połzunowa. Pierwsza na świecie fabryczna instalacja cieplna I. Połzunowa zbudowana została przez niego w latach 1764 — 1765. Nieśmiertelna zasługa wynalazcy rosyjskiego polega na tym, że o 20 lat wcześniej, niż James Watt, zbudował on potężną instalację silnikową. Zastosowawszy szereg oryginalnych zasad technicznych i mechanizmów I. Połzunow o dziesiątki lat wyprzedził swą epokę. Wynalazca rosyjski osiągnął to, że mechanizm jego działał automatycznie i bez przerwy, co stanowiło prawdziwy przewrót w technice. Niestety w carskiej Rosji wynalazek Połzunowa nie został doceniony i nie znalazł szerszego zastosowania. Na zdjęciu: Makieta instalacji silnikowej I. Połzunowa. **p**

Na małym i brudnym dziedzińcu Uniwersytetu w Glasgow (Szkocja) stał starszy pan wyraźnie zirytowany.

— James. James! Gdzieś ty się podział?

Z drzwi mieszczącego się na podwórzu warsztatu. wyszedł szybko młody człowiek w fartuchu mechanika.

— Jestem. Sir.

— Wyobraź sobie James, że ta maszyna Newcomena. którą 3 miesiące temu posłaliśmy do naprawy do najlepszego zakładu mechanicznego w Londynie, wróciła. Ale jak wróciła! Tak samo zepsuta, jak przed tym! Skandal, co sobie ci Anglicy myślą! Weź ją James i zobacz, czy już nic nie da się zrobić.

— Zobaczę profesorze.

Następnego dnia James Watt przeniósł do swego warsztatu mechanicznego nieszczęsną maszynę parową Newcomena. W tydzień później odniósł ją z powrotem naprawiona. Ale od tego dnia zaczęto patrzeć na niego, jakby oszalał. Zamiast bowiem naprawiać — jak zwykle — szkolne przyrządy, Watt zamykał się w pracowni, zawzięcie gotował wodę w kociołku, skrapiał parę, liczył, mierzył — i w ogóle zachowywał się dziwnie. Mało kto wiedział, że próbuje on ulepszyć model maszyny Newcomena.

Był rok 1763.

*

Maszyna parowa. którą Watt zreperował była bardzo prymitywna. Do cylindra wpuszczano parę, następnie oblewano wodą, para skraplała się wewnątrz i tłok opadał. Całość wymagała kręcenia mnóstwem kranów, a poza tym po kilku poruszeniach cała maszyna z braku pary stawała. Trzeba było czekać aż woda się znowu zagotuje.

Dla nas to wszystko wygląda zabawnie, ale w owych czasach nawet taka maszyna znalazła zastosowanie do pompowania wody w kopalniach. Wszędzie bowiem poszukiwano wtedy dobrej siły napędowej. Znano już maszyny tkackie — lecz fabryki się nie rozwijały, gdyż nie było napędu. Do komunikacji natomiast nadal — jak i 2.000 lat przed tym — używano koni lub własnych nóg — zależnie od odległości. Na morzach pływały powolne i zależne od wiatru statki żaglowe.

Był rok 1763.

*

Watt rozpoczął od... gotowania wody. Mierzył, ile ciepła potrzeba na zmianę wody w parę, jaką objętość zajmuje para, w porównaniu z wodą, z której powstała; mierzył — i myślał. Co zrobić, żeby w maszynie Newcomena nie marnowało się tyle pary na ogrzanie cylindra, który i tak za chwilę trzeba będzie znowu ochłodzić. Pierwszym udoskonaleniem Watta było, umieszczenie skraplacza pary poza cylindrem. Następnie umieścił cylinder w drugim, większym napełnionym parą, co uniemożliwiało chłodzenie przez zetknięcie z powietrzem. Idąc tak dalej, stworzył on w końcu maszynę parową, w której nie trzeba było kręcić żadnymi kurkami, gdyż wszystko było automatyczne. Model takiej maszyny macie w podręcznikach szkolnych. Można było pomyśleć o zastosowaniu jej w fabryce. Ponieważ nikt początkowo nie miał zaufania do wynalazku Watta, zgodził się on na zainstalowanie maszyny w fabryce z tym, że jako wynagrodzenie otrzyma on wyłącznie część tej sumy, jaką fabryka zaoszczędzi na węglu. Warunek został przyjęty. Pierwsza maszyna ruszyła.

Był to rok 1776.

*

— No jak tam panie Smith, kto jutro wygra?

— Ja stawiam na „Rocket" panie Evans.

Do rozmowy wtrącił się trzeci człowiek, stojący z boku.

— Przepraszam panów, ale można wiedzieć, o czym panowie mówią?

— Widzi pan ogłoszono konkurs na maszynę — poruszaną tą modną parą — która uciągnie 6 ton z szybkością 15 km godz. Jutro ogłoszą rozstrzygnięcie, bo zgłoszono 4 maszyny.

— Ależ to przecież niemożliwe, żeby para ciągnęła taki ciężar z taką szybkością!

— Nie wiadomo proszę pana, nie wiadomo.

Następnego dnia okazało się, że w konkursie zwyciężyła maszyna (my nazwalibyśmy ją lokomotywą), zbudowana przez G. Stephensona. „Rocket" — bo tak się ona nazywała — osiągnęła szybkość ok. 40 km godz., ciągnąc wagon z 30 pasażerami.

Był to rok 1829.

*

A dzisiaj? Dzisiaj wsiadamy w pociąg pośpieszny np. do Poznania — jedziemy w nim z szybkością 70 km na godzinę. Przed lokomotywą nie pędzi żaden jeździec z trąbką, jak to było za czasów Stephensona, a my sobie śpimy wygodnie w wagonie sypialnym. Rano jesteśmy w Poznaniu, wysiadamy i idziemy sobie obejrzeć wielką fabrykę Cegielskiego, która produkuje lokomotywy i wagony.

Nie wiele jest już miejsc w Europie, do których nie można by dojechać pociągiem. Przebywanie odległości stało się już tylko kwestią pieniędzy na bilet.

Jest rok 1949. **HAK.**

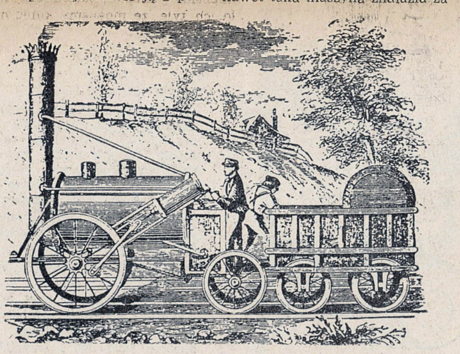

Lokomotywa „Rocket" z 1829 r.

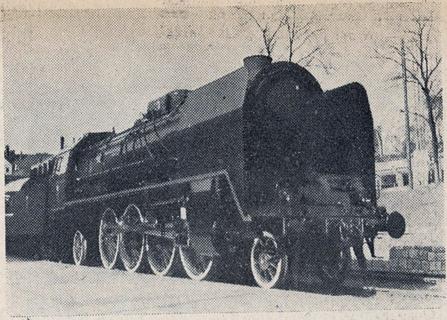

Nowoczesna lokomotywa wyprodukowana w zakładach Cegielskiego w Poznaniu. Takie same lokomotywy produkuje fabryka w Chorzowie. Coraz szybciej, coraz punktualniej jeżdżą pociągi polskie.

— Co tu robisz — zapytałem.

— Ja... ja byłem u ciotki. A ty?

Pytanie Gienka wprowadziło mnie w zakłopotanie. Co mam powiedzieć. Przecież nie powiem, że przyszedłem obejrzeć dysk?

— Ja też byłem tutaj na... Głównej u kuzyna. Czułem, że moja odpowiedź była głupia, że Gienek i tak nie uwierzy.

— Idziesz do domu — zagadnął.

— Tak!

— To pójdziemy razem.

Po drodze spotkaliśmy Jurka. Okazało się, że i on szedł... do ciotki. Gdzieś koło Targowej. Gienek nie patrząc w moją stronę, powiedział:

— Wiesz, ja wcale u żadnej ciotki nie byłem. Oglądałem ten dysk.

Wtedy i ja się przyznałem, Czułem, że Gienek chce mi coś powiedzieć. Wreszcie zapytał:

— Jak myślisz, może dać Rakowskiej te pieniądze?

— Zobaczymy — odparłem wymijająco.

Koło Widzewskiej Manufaktury stały kobiety z garnuszkami, w których przyniosły obiad swym mężom. Na „Wimie" (skrócona nazwa Widzewskiej Manufaktury) był strajk okupacyjny.*)

Przy portierni stało kilku strażników z paskami pod brodą. Pilnowali wejścia.

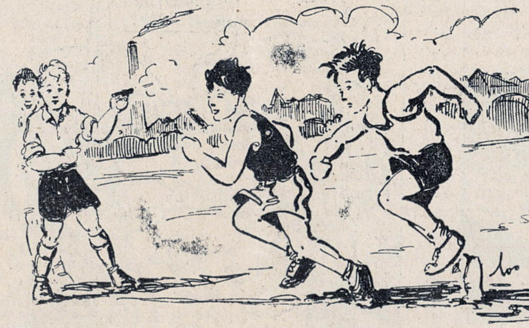

— Uwaga... do biegu... gotowi... traaach!!!

×

Odrabiałem lekcje, gdy przyleciał do mnie Rysiek.

— Franek, chodź na plac! Ważne sprawy.

Zostawiłem zeszyt na stole i pobiegłem z Ryśkiem.

— No jak, chłopaki? — zapytał Jurek. Choć nie powiedział nam o co mu chodzi, rozumieliśmy pytanie. Znaczyło to po prostu — dysk, czy Rakowska?

Siedzieliśmy w milczeniu przez chwilę. Pierwszy odezwał się Zenek.

— A co z dyskiem?

— A kto nam piłkę naprawił? Rakowski! Kto opowiadał nam te ciekawe historie? Rakowski! Kto nam sędziował ostatni mecz w „nożną"? Rakowski! I wy jeszcze namyślacie się? co ważniejsze? — zawrzał gniewem Wacek.

Tak, Felek miał rację. Zawstydził nas bardziej niż przypuszczał. To też gdy Jurek zarządził głosowanie, nikt nie podniósł ręki na pytanie — kto za dyskiem?

Wreszcie i ja odezwałem się. — Dysk i tak będziemy mieli. Może nie taki dobry jak ten, który mieliśmy kupić, ale rzucać nim możemy, — i skoczyłem do domu aby przynieść owoc mojej trzytygodniowej pracy.

W kilka minut później Heniek, Zenek i Wacek poszli do Rakowskiej z pieniędzmi. Zanieśli jej całe sześć złotych i piętnaście groszy.

---

*) Robotnicy w czasie strajku okupacyjnego nie opuszczają fabryki i nie pozwalają „łamistrajkom" pracować.

WŚCIBINOS I LAS

WIELKIE imię genialnego Kota-Rybołówcy! Magister Alicjo — ja doprawdy nie wiem, czy to się skończy! — rozpaczał Mruczek trąc łapką zafrasowane czoło. — Wczoraj otrzymałem ultimatum podpisane przez najwybitniejszych człon ków mysiego społeczeństwa, że jeżeli prof. Wścibinos, który już trzecią noc chodzi w kółko po swoim pokoju nie przestanie ich budzić stukotem swoich czcigodnych kroków — to cały mysi ród wyprowadzi się nie tylko z naszego domu, ale z całej okolicy w promieniu 5-ciu kilometrów i zostanę wtedy najbardziej bezrobotnym ze wszystkich bezrobotnych kotów świata. Cóż ten profesor u licha nowego zamyśla! — Tu kot Mruczek załkał — strasznym, rozdzierającym serce szlochem.

Magister Alicja Wszystkowiem oderwała wzrok od wielkiego atlasu owadów i już miała wzruszyć ramionami, kiedy otworzyły się drzwi gabinetu profesora. Ruchy profesora były pełne tej godności i powagi, która cechuje wszystkich genialnych odkrywców, w jego brodzie siwej, jak czerwcowe gwiazdy — igrały wesołe promyki słońca.

— Współpracownicy moi! — przemówił krótkim, żołnierskim językiem. — Po przeczytaniu artykułu „Zielona Fabryka" wiecie napewno, że las jest bardzo ważnym źródłem bogactwa kraju. Z dniem dzisiejszym mobilizuję was do walki o las. Do walki przeciwko szkodnikom, które go niszczą....

Po wygłoszeniu tych słów, profesor zwrócił się ku drzwiom, a Mgr. Alicja i kot Mruczek pomaszerowali za nim.

* * *

KWITNĄCY sosnowy zagajnik wydzielał tak mocną woń żywicy, że Mruczkowi zakręciło się w nosie i zaczął okropnie kichać. Wskutek tego nie zauważył szerokiego na 25 cm a głębokiego na 30 cm rowka biegnącego skrajem zagajnika i wpadł weń wszystkimi czterema łapami.

— Ajaj! Na mój puszysty ogon! — miauczał, gramoląc się na ścieżkę. — Wbrew znanemu przysłowiu wpadłem w dołek, którego pod nikim nie kopałem...

— Wcale nie w dołek, tylko w rowek — poprawił go Wścibinos. —A poza tym nie szkodziłoby, żebyś pomógł w kopaniu go przeciwko tym ošzkodnikom...

Na dnie rowka co dziesięc metrów, znajdowały się głębokie na 15 do 20 cm studzienki.

Na dnie jednej z nich łaziło bezradnie kilkanaście szarych, podługowatych chrząszczy, których głowy były wydłużone w ryjek.

— To są szeliniaki, jedne z najgroźniejszych wrogów sosnowych młodników — tłumaczył Wścibinos — Chrząszcze te ogryzają korę z kilkuletnich sosenek, powodując wymieranie całych hektarów zagajnikńw. W najszczęśliwszych wypadkach, jeśli drzewko jedynie częściowo ogołocone z kory nie uschnie — to karłowacieje lub rośnie potem krzywo. Zrozumiałe, że takie krzywe drzewo nadaje się tylko na opał. Nie można już robić z niego desek belek, ani masztów. Szeliniaki, z wyjątkiem krótkiego okresu godów nie umieją fruwać! chodzą wyłącznie na piechotę. Dlatego taki rowek o pionowych ścianach wykopany dokoła zagajnika jest dla nich pułapką...

O kilkadziesiąt kroków dalej natknęli się na drużynę harcerzy, w rękach chłopców błyskały łopaty. To oni właśnie kopali rowek — pułapkę.

— Czołem druhowie. — zawołał Wścibinos. — A wy skąd?

— Z Warszawy — odpowiedzieili chórem. — Z wycieczka.

— No, to postępujecie dosyć nieroztropnie

— A dlaczego — Profesosorze?

— Otóż uważajcie. — Wścibinos siadł na skraju lasu na pniu, a harcerze otoczyli go kołem. — Taki rowek jak ten, którego obie ściany są pionowe stanie się pułapką nie tylko dla szeliniaka, ale także dla całego szeregu pożytecznych zwierząt, współpracujących z człowiekiem w walce ze szkodnikami. Ani zwinna jaszczurka, ani bardzo pożyteczna ropucha, ani najwięksi wrogowie szkodników — szczypawki, skorki, kusaki i wiele, wiele innych nie będzie się mogło z niego wydostać i zostanie skazane na śmierć. Gdybyście mieszkali gdzieś w pobliżu, i codziennie któryś z was mógł patrolować ten rowek, niszczyć znajdujące się w nim szkodniki, a wypuszczać na wolność zwierzęta pożyteczne — byłoby wszystko w porządku. A tak to powinniście budować jedynie dokoła zagajnika rowek izolacyjny, Różni się on od rowka — pułapki tym że tylko jedna jego ściana ta od strony zagajnika jest pionowa i nie pozwala szkodnikom dostać się na teren zajęty przez młode drzewka. Przeciwległa zaś ściana, łagodnie nachylona pozwala wydostać się zeń zwierzętom, które się tam dostały. Nie będzie to coprawda pułapką ale cóż — mieszkacie zbyt daleko, żeby budować pułapki... Możecie ją robić tylko w takich wypadkach, jeżeli jesteście w stanie kontrolować ją co jeden lub dwa dni...

A poza tym słuchajcie. To nie jest jedyny sposób walki z szeliniakiem, jak zresztą ów groźny szeliniak nie jest je-

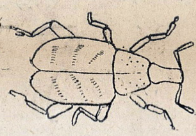

dynym szkodnikiem leśnym. W każdym numerze, począwszy od następnego będę wam, pisał, jak macie się rozprawiać ze szkodnikami leśnymi, przynoszącymi Polsce co roku dziesiątki milionów strat. **Czytajcie pilnie moje listy, żeby dobrze wiedzieć, jak przysłużyć się krajowi. Jeżeli będziecie mieli jakieś wątpliwości — piszcie oczywiście do mnie — a ja wam wszystko wyjaśnię. Listy adresować: Prof. Wścibinos, w sprawie lasu. No i oczywiście adres redakcji....**

DON KICHOT W POLSCE

SĄCZEK—PĄCZEK—STARY KAMRAT

Ilustrował M. WALENTYNOWICZ opracowanie J. PODOSKI

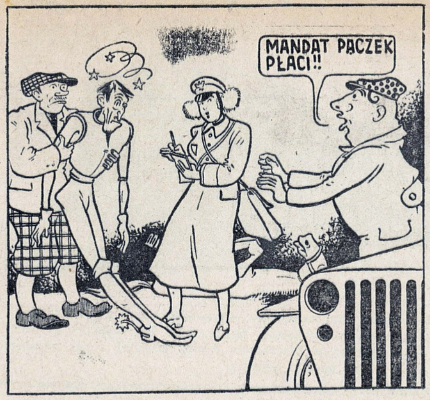

Co by było i ktoby mandat Lodzi zapłacił, gdyby nie nadjechał Sączek - Pączek?

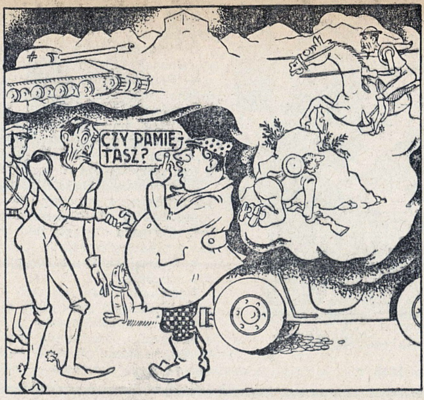

Ten to spryciarz nad spryciarze, a tchórz nad tchórze, wspomina przeszłość: — pamiętasz nasze boje?

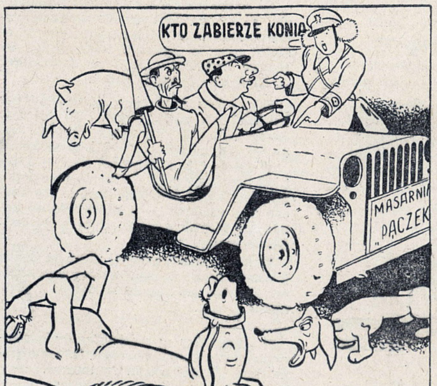

Milicjantka Lodzia: — Jakto, już obywatele czmychają, a zabitego konika kto zabierze...?!

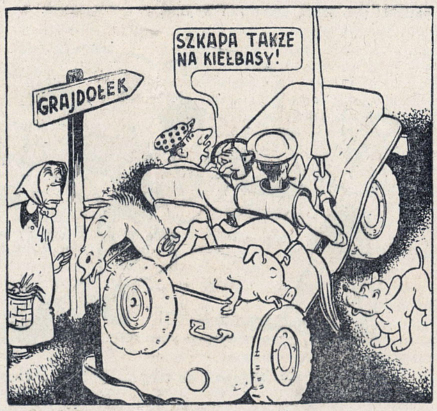

Sączek-Pączek: — co racja, to racja, nie marnować darów, które spadły z nieba! Chude szkapsko, ale jakoś kiełbaski i z niego się zrobi...

Zdolny uczeń

— Jeżeli pomidor przekroję na dwie równe części, to co otrzymam ?

— Dwie połowy.

— A jeśli jedną połówkę przekroję jeszcze raz na pół i każdą połówkę na pół to co będzie?

— Sałatka pomidorowa.

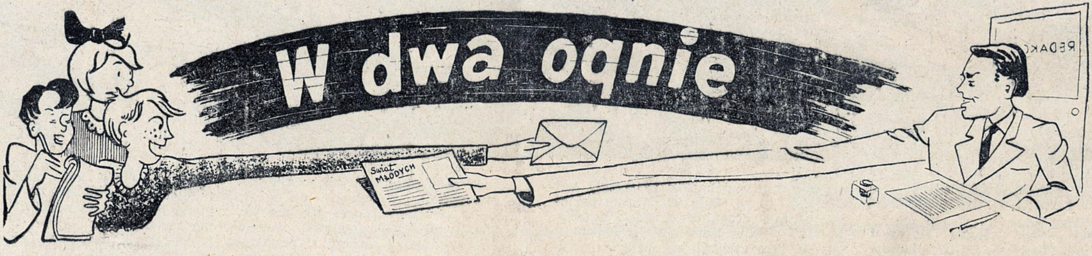

Fatalna koza

Maciek spojrzał na zegarek.

— Napewno już są — pomyślał o zastępie, którego był sanitariuszem, uśmiechając się tajemniczo wyciągnął kozę z komórki.

Koza z natury, melancholiczka nie wykazywała żadnej chęci do wspólnej wycieczki. Maciek w jedną stronę, koza w przeciwną. Łączył ich tylko mocny sznurek. I tak w ponurych podskokach zabrnęli pod szkołę.

Zastęp oniemiał!... Nie, czegoś podobnego jeszcze nie widzieli. Z kozą na wycieczkę! Wstyd i hańba! Maciek zaśmiał się.

— Nie chcieliście na zbiórce słuchać o higienie wycieczki, to teraz będę was kompromitował z ta koza!

— Maciek, zlituj się, po co nam ona?

— A kozłowy łój?

— Czy mamy odparzone pięty ocierać o twoją kozę? — wołali chłopcy, zanosząc się od śmiechu.

— Jak macie łój, to niekonieczne.

Ale łoju nikt nie miał i wełnianych skarpetek też, a Albiś włożył nawet nowe tyrolki, trochę przyciasne.

— Wariat, zmień buty, albo oddaj nogi do lombardu! — wołali chłopcy.

Albiś znany w zastępie „elegant“ obraził się, ale tylko na chwilę... Zreszta lubił uchodzić za eleganta.

— A co masz w tych słoikach? — pytał któryś ciekawski, zaglądając Maćkowi do kieszeni.

— Marmeladę na poty!

— Co?!!!.

— Ano tak, jeśli Wojtek wziął wełniana koszulę, swetr i wiatrówkę, to napewno spoci się na trzecim kilometrze i trzeba go będzie od wewnątrz smarować.

— Wiwat Maciek! — krzyknął zastęp ubawiony. Ale nasz sanitariusz nie tracił powagi.

— Jurek gdzie masz czapkę — krzyknał zaraz do kronikarza — jak przepali ci się dowcip, to trzeba bedzie ten oto olej — tu pokazał manierkę — wlewać lejkiem do głowy.

Jurek posłusznie założył czapkę. Okazało się jednak, że w manierce jest przyrządzona lemoniada. Spojrzeli z zazdrością. Oni mieli zwyczajna lemoniadę, kupioną w ciężkich butelkach, albo przecukrzona herbatę. Tylko Podlaskiemu zrobiła matka kompot z rabarbaru. Smaczny i orzeźwiający.

Teraz Maciek wręczył Jankowi teczkę i kazał mu z nią obejść 10 razy wokoło boiska. Nie była ciężka, kiedy ją brał, ale przy ósmym okrażeniu Janek wołał.

— Maciek dosyć, bo mnie ręce bola!

— To właśnie tak was będą boleć, jak nie porobicie chlebaków, nie nauczycie się nawet na wycieczki chodzić z plecakami.

Janek chciał usiaść i odpocząć, szedł przecież prędko, spocił się, jak mysz. Pod murkiem w cieniu panował chłód, ale Maciek nie pozwolił napić się

— Poczekaj, jak ochłoniesz. A teraz pokażcie prowiant.

Okazało się, że Jurkowi jajko wpadło w masło i popłynęło po okładce kroniki zastępu w kierunku recznika (plecak stał na słońcu, a masło było w papierze). Na szczęście, po drodze było mydło i zatrzymało dowcipne jajeczko. Grzebień Ryśka szczerzył zęby, tkwiąc do połowy w serze.

Higienista zaryczał wielkim głosem.

— O, do stu pastylek aspiryny, patrzcie jak powinno być. Przyrządy do mycia w jednym woreczku, chleb w czystej ściereczce, masło w pudełku aluminiowym, albo galalitowym. Na wycieczkę dobrze wziąć kawałek pieczeni, czy kotlet, a najlepiej konserwy, nie zwłoki świni „zabalsamowane“ w kiełbasę. Kiełbasa psuje się łatwo, chyba, że jest sucha, opakowana w pergamin.

Chłopcy mieli miny skruszonych grzeszników. Ale Maciek korzystał z okazji i strofował dalej.

— No, widzieliście jak mam wszystko przygotowane do wycieczki. A może czegoś mi brak?

— Litości!.... jęknął Heniek zły, bo go nogi już bolały.

— A właściwie, to brak ci jeszcze apteczki- — wrzasnął radośnie mały Felek.

— Brak ci apteczki! — zarechotał zgodnie zastęp! Najważniejsze apteczka! Proste jak obrecz!

Maciek zaczerwienił się i podobny był do swej lemoniady. Żeby jakoś ratować nadszarpnięty autorytet sanitariusza, kazał właścicielom teczek robić bieg na przełaj.

— Ale skompromitowałem się — myślał — wziałem kozę, a zapomniałem apteczki i z niechęcią patrzył na czworonożnego towarzysza wycieczki, który najspokojniej w świecie wyjadał z czyjejś torby wycieczkowy prowiant.

ŻUBR i NIEDŹWIEDŹ
z Myślenic

Gdynia dnia 5 maja 1949 r.

SZANOWNA REDAKCJO!

Już sam nie wiem ,na jaką nutę mam do Was pisać. Stwierdzę na początku, że w legendarnej tece redakcyjnej, (o ile nie w koszu), napewno spoczywa 12 (dwanaście) moich prac — wierszy, opowiadań i artykułów. To plon mojej twórczości w ciągu czterech miesięcy. Cóż stąd, kiedy nie wydrukowaliście dotąd niczego przez dwa miesiące, uporczywie milczycie o wartości mych prac. Jestem zupełnie w kropce, bo z jednej strony mam natchnienie i mógłbym pisać dalej, a z drugiej strony poco pisać, kiedy i tak nie wydrukujecie.

Nie sądźcie, że jestem takim egoistą i myślę tylko o sobie. Nie. Śledzę uważnie każdy numer „Świata Młodych“, który czytam od deski do deski i czasami istotnie widzę drukowane prace Czytelników, ale... to za mało. Jestem pewny, że wyrażam opinię ogromnej, przeważającej większości „piszących“ Czytelników. Redakcja, o ile chce naprawdę, a nie w teorii, współpracować z czytelnikami, m u s i pójść im na rękę i przeznaczyć więcej niż dotychczas miejsca w piśmie na drukowanie naszych prac, na omawianie listów, w których zwracamy się do Redakcji ze swoimi troskami, kłopotami, no i wogóle naszymi uczniackimi sprawami. Bo tak jak jest teraz, jest źle. Ciągle drukujecie tylko artykuły (zresztą bardzo dobre) i tylko na jednostkach budujecie swą współpracę z Czytelnikami. A przecież nie o to chyba chodzi?

Stawiam sprawę jasno. Albo redakcja da nam więcej miejsca w piśmie (nie wiem czy można marzyć o... całej stronie), albo... Sam nie wiem, co zrobię. A tak lubię „Świat Młodych“.

Z poważaniem

Zygmunt Adamczyk, Gdynia

Redaktor odpowiada w sprawie przezwisk

OTRZYMAŁEM LIST OD KOLEGI ALEKSANDROWICZA. PISZE ON:

„Jeszcze na początku roku były wybory na wójta klasy. Wysunięto na kandydatów kilku chłopców. Potem wszystkie głosy oddano na jednego. Ja wstrzymałem się od głosowania, ale zmuszono mnie, abym głosował również. Głosowałem więc na chłopca, którego bardzo lubię. Zaczęto ze mnie drwić. Wstałem i usprawiedliłem się, ale przez nienawiść dano mi nieładne przezwisko. Nie reagowałem na to, ale zaczęto mnie również tak nazywać na ulicy. Zwróciłem się do wychowawcy klasy. Odrzekł, że nie może na to nic poradzić. To też poproszę pana redaktora o radę, co mam zrobić, aby mnie przestano wyzywać!“

PRZEZWISKA TO NIECHLUBNA, ALE DOŚĆ MOCNO ZAKORZENIONA TRADYCJA SZKOLNA. PRZY WYBORACH WÓJTA MÓGŁ MÓJ KORESPONDENT POPEŁNIĆ BŁĄD I ZAMIAST ROZWAŻYĆ, KTÓRA KANDYDATURA JEST NAJKORZYSTNIEJSZA DLA KLASY, POKIEROWĆ SIĘ OSOBISTĄ SYMPATIĄ DO SWOJEGO PRZYJACIELA.

MYŚLĘ, ŻE NALEŻAŁO MU TO WYTŁUMACZYĆ, A WÓWCZAS UNIKNĘŁOBY SIĘ DALSZYCH NIEMIŁYCH SKUTKÓW. NIE PRZYPUSZCZAM, ŻEBY NAUCZYCIEL NIE WYSŁUCHAŁ CIĘ, GDYBYŚ MU NAPRAWDĘ POWIEDZIAŁ O CO CHODZI. POSTAW SWOJĄ SPRAWĘ NA LEKCJI WYCHOWAWCZEJ. POWIEDZ KOLEGOM SZCZERZE, ŻE BOLI CIĘ TO PRZEZYWANIE, ŻE NA NIE NIE ZASŁUŻYŁEŚ. MOŻESZ BYĆ SPOKOJNY, ŻE WYCHOWAWCA KLASY POPRZE SWOIM AUTORYTETEM TWOJE STANOWISKO.

TO CO NAPISAŁEM W ODPOWIEDZI NA LIST KOL. ALEKSANDROWICZA NIE ZAŁATWIA SPRAWY PRZEZWISK. OBOK PORUSZANYCH JUŻ PRZEZ NAS ZAGADNIEŃ WARTO I TĘ SPRAWĘ WZIĄĆ POD DYSKUSJĘ...

OCZEKUJĘ LISTÓW.

(W U K A)

Zygmunt Adamczyk — jak widzisz — wcale niezrażeni krytyką — drukujemy powyżej Twój list. O wyróżnieniu Twojego głosu, jakim jest niewątpliwie wydrukowanie Twego listu, zadecydowały dwie sprawy: piszesz w imieniu wszystkich czytelników. To jedno. Krytykujesz nas za rzekome wyróżnianie jednostek — Czytelników. To drugie. Twój list nie jest wyjątkiem. W bynajmniej nie legendarnej tece redakcyjnej znajduje się cały stos listów o podobnej treści, mnożą się propozycje założenia różnych „kącików czytelniczych“, osobnych działów i t.p. W odpowiedzi na to redakcja daje Wam do dyspozycji całą kolumnę. Gospodarujecie na niej. Jak to będzie wyglądało — zobaczymy.

Ryszard Kudosz — zamiast humoreski „Pompa“ która jest raczej oparta na znanym dowcipie, napisz coś wesolego z waszego życia szkolnego.

KLEKSY

Kilka dni temu „oryginalną“ zabawę wymyślili dwaj chłopcy z Warszawy.

(Tak kol. [illegible]czyński, niestety, nietylko w Krakowie szaleją „telefoniści“ przyp. red.). Jeden zatelefonował do dyrektora swej szkoły i podał się za milicjanta, drugi zaś wezwał telefonicznie Pogotowie Ratunkowe do rzekomego, ciężkiego wypadku. Wypadek — i to bardzo przykry — wydarzył się rzeczywiście w kilka godzin później ,ale jego ofiarami padli obaj niefortunni figlarze. Po prostu przyłapano ich na gorącym uczynku kontynuowania tej telefonicznej „zabawy“. Już tam ich rozmowa z rodzicami nie musiała być przyjemna. Ręczę.

WACŁAW KUCHARSKI,
Warszawa

* * *

...i dlatego młodzieży warszawskiej należy się specjalne uznanie (zdanie to nie dotyczy wcale poprzedniej notatki przyp. red.). Tylko jedna uwaga. Pracować trzeba, ale... z głową. Dlaczego o tym się tak rozpisuję? Bo nie wiedziałem, co mam zrobić ze złości, gdy widziałem uczennice i uczniów, którzy dając swą pracę w Czynie Pierwszomajowym wyruszyli na oczyszczanie zieleńców i podwórek wokół luksusowych domów i wytwornych will na Saskiej Kępie. A przecież każdy wie, że właścicielami większości tych domów są bogaci kupcy, posiadacze prywatnych fabryczek itd. To my, młodzi mamy tym ludziom swą pracę ofiarowywać? A z jakiej racji? Dlatego jeszcze raz podkreślam: pracować trzeba inteligentnie, rozumnie, z wiedzą o wartości i celu tej pracy...

fragment listu B. Rydka
Warszawa — Targówek

KOMUNIKAT Nr 1 DLA KÓŁ KORSPONDENTÓW

Po szczegółowym rozpatrzeniu dotychczasowej działalności Kół Korespondentów „Swiata Młodych“, Komitet Redakcyjny pozytywnie ocenił pracę Łódzkiego, Warszawskiego, Bydgoskiego i Oświecimskiego Koła Korespondentów. Ponadto za dobrą pracę redakcja wystawi szereg legitymacji korespondenckich. W związku z tym następujacy kol. kol. proszeni sa o nadesłanie fotografii: Kraskowski z Łodzi, Kotowska z Ełku, Kościszewska z Katowic, Martynowicz z Zabrza, Ptaszkowski z Oświęcimia, Roszko z Krakowa, Siewierski z Warszawy, Szeliga z Warszawy, Zaturowski z Kłodzka, Żołnierowicz z Bydgoszczy. Na odwrocie należy napisać: imię i nazwisko, datę urodzenia, adres, nr i nazwę szkoły.

Komitet Redakcyjny stwierdza, że dobrze zapowiada sie praca Kół Korespondentów w Łancucie i Kłodzku, których członkowie mają szanse otrzymania w niedługim czasie legitymacji. Jednocześnie Komitet Redakcyjny wyraża nadzieję, że wobec oddania całej kolumny Czytelnikom, pozostałe Koła Korespondentów ruszą z martwego punktu i wzmogą swą działalność.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ODCINKÓW

Polski statek „Junak II" pod dow. kpt. Pilewicza, płynąc z ładunkiem przez Ocean Lodowaty utknął w zwałach lodu. Załoga przeniosła się na lód. Statek zatonął.

Potem przyniesiono Burnagla otulonego w futra i usadowiono go w samolocie. Przywara z pomocą bosmana rozłożył i zabezpieczył skrzydła i Lamers K-6, jak czerwony zrywający się do lotu owad, stanął na bieli śniegu, gotów do drogi.

Jeszcze Kawka poprawiał i kontrolował coś w małej pokładowej stacji radiofonicznej. Jeszcze kapitan Pilewicz składał mapy z wykreślonym przypuszczalnym kursem na przylądek Barrow. Jeszcze kok*) pakował do bagażnika żelazną porcję konserw i czekolady. Jeszcze Przywara umocowywał zapasową bańkę benzyny.

Wreszcie wszystko było gotowe. Przywara przerzucił raz i drugi śmigło, aby zwiększyć kompresję w cylindrach.

— Wolny! — zawołał, cofając się o krok.

— Wolny. Na bok! — krzyknął pilot.

Zamamrotał rozrusznik. Śmigło obróciło się wolno raz, drugi, trzeci... Szarpnęło. Silnik zaczął gdakać, plując błękitnym dymem.

Plichta poprawił się w siedzeniu, zapiął pasy i naciągnął rękawice. Potem rozejrzał się w kabinie: licznik obrotów, wysokościomierz, termometr, dwa manometry, wskaźnik szybkości, przyrząd Sperry. Wyłączniki do świateł, do ogrzewacza, do radia i do iskrownika.

— W porządku.

Długo trzymał maszynę na wolnych obrotach, żeby silnik dobrze się nagrzał. Patrzył na otaczających go towarzyszy, których miał porzucić, by im sprowadzić pomoc.

Wszyscy teraz wypełzli z baraku i stali opodal, rozmawiając o nim i o możliwości ratunku.

Pilewicz chodził tam i z powrotem pod prawym skrzydłem samolotu, z rękami zarzuconymi w tył. Powłóczył nogą, przystawał, wypinał brzuch i chrząkał: — Hę?, spoglądając na Plichtę. Sapał, wspinał się na palce i opadał na pięty, garbił się i spacerował znowu.

Kilometr, długi i chudy jak tyka, na której zawieszono obszerne ciężkie futro baranie, oparty na rękojeści szpadla i pochylony nad Bartkowiakiem, coś do niego mówił, uśmiechając się swymi szerokimi ustami i błyskając dwoma złotymi zębami.

Prochal, Konkol i Zasada tworzyli oddzielną grupę. Stali z głowami uniesionymi, patrząc poważnie na Adama, jakby chcieli w niego przelać wzrokiem całą swą dzielność i wytrwałość. Uśmiechnął się do nich i podniósł rękę. Odpowiedzieli mu tym samym gestem jak na komendę.

Przywara stał najbliżej, oparty piersiami o zastrzał skrzydła, wyczuwając całym ciałem wibrację samolotu. Dłonią pieszczotliwie dotykał gondoli w oczekiwaniu na próbę silnika na pełnym gazie.

Termometr wskazywał 50 stopni. Wtedy Plichta zastrzasnął szklaną osłonę kabiny i dał znak, że będzie hamował silnik.

Ludzie chwycili za zastrzały, za płozy, za klamry na ogonie, gdzie kto mógł i zaparli się nogami w śnieg.

Pilot zwolna odciągnął dźwignię do końca. Przez rury wydechowe ryknął niski, jędrny bas. K-6 podał się w przód, ciągnąc za sobą trzymających go ludzi.

Przywara zamachał rękami:

— Zmniejszyć obroty, bo ucieka!

Poskoczył pod śmigło i wsunął pod płozy dwa małe zwoje manili.

— Jeszcze raz — pokazał gestem.

Silnik ryknął znowu i tym razem dobrze zahamowane płozy nie puściły maszyny.

Plichta przełączył iskrowniki: lewy, prawy.

Paliły równo.

— Jak złoto — powiedział Przywara.

Pilot zmniejszył obroty i skinął głową:

— W porządku.

Usunięto liny spod płóz. Plichta rozejrzał się po raz ostatni. Podniósł rękę na pożegnanie. Ruszył.

Przed nim w półmroku błyszczały żółte bańki latarń. Było ich siedem po lewej stronie drogi, co dziesięć metrów. Potem — jedna czerwona.

— W tym miejscu jest próg — przypomniał sobie.

Potem jeszcze dwie żółte i wreszcie trzy czerwone u końca równiny.

Samolot sunął gładko, unosząc ogon. Płozy lekko tarły po dobrze ubitym śniegu. Latarnie zbliżały się szybko i ginęły z pola widzenia jedna po drugiej.

— Jedna, dwie, trzy — liczył Adam.

Czerwone światła na końcu toru chciały mu uciec w prawo. Sparował skręt samolotu i trzymał je na linii maski silnika, wparzony uważnie przed siebie. Wiatr uderzał raz z lewa, raz z prawa, porywiście. Maszyna pochylała się wskutek tego na skrzydła. Po bokach mknęły zaspy śnieżne i lodowe zwały tuż blisko.

Przed szóstą latarnią spróbował dźwignąć maszynę w powietrze, ale ogon był jeszcze ciężki: ostroga zachrobotała po lodzie.

— Piętnaście metrów — pomyślał. — No...

Jeszcze jedna latarnia uciekła w tył. Ściągnąć ster. Płozy przestały szorować w śniegu. Mignęło czerwone światło w dole na lewo, samolot opadł za progiem, odbił znowu, przeskoczył trzy czerwone latarnie u końca toru, zawadził o czub wysokiej zaspy, rozpylając tuman śnieżnego pyłu, który zakrył go przed wzrokiem patrzących i — nabrawszy wreszcie szybkości — zaczął się wznosić.

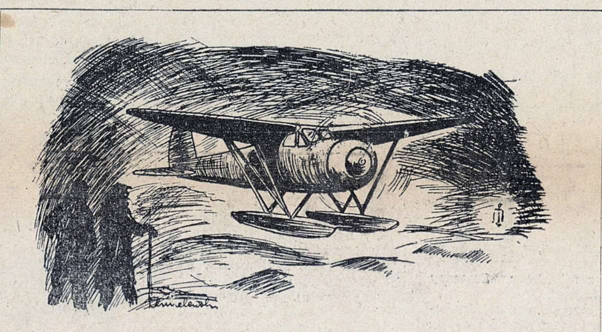

Przed szóstą latarnią spróbował dźwignąć maszynę w powietrze...

Plichta odetchnął swobodniej.

— Teraz tylko przed siebie, na południe.

Spojrzał na czarną wahającą się kulę busoli, rzucił okiem na zegary i obejrzał się na Burnagla.

Burnagiel miał oczy otwarte i przytomne. Uśmiechał się wesoło.

— Jak się czujesz? — zapytał Adam.

— Lepiej — odrzekł. — Jak długo będziemy lecieli?

— Ponad dwie godziny.

— Trafisz?

— Ja wszędzie trafię.

— Żeby tylko starczyło benzyny. Mamy przeciwny wiatr, prawda?

— Tak, ale nie bardzo silny. Powinno wystarczyć, jeżeli Szczepanik dobrze obliczył szerokość geograficzną.

— 75 stopni?

— 75° i 24 minuty. Kapitan Pilewicz przypuszcza, że jesteśmy na 160 południku, 250 mil od Barrow.

Śnieg prószył jeszcze, ale horyzont na południu był jasny. Świeciły tam blade gwiazdy i niebo lekko różowiało. To ich napełniało otuchą.

— Może zobaczymy dziś słońce — powiedział Burnagiel.

Pod samolotem wolno przesuwała się czarna toń morza, tu i ówdzie poplamiona szarą krą. Dalej na lewo i na prawo morze zlewało się z niebem zupełnie.

Silnik warczał równo. Wiatr, jakby na przekór temu co o nim powiedział Plichta, coraz silniej uderzał po burtach, kołysząc maszyną. Wskakiwał na skrzydła, odbijał się od nich i spadał na stery. Wieszał się u stateczników, hucząc i wyjąc przeciągle i urywał się niespodzianie, aby pochwycić w nagły skręt gondolę: może uda się odwrócić maszynę na plecy?

Nie udawało mu się. Zły, uciekał do obłoków i szarpał je na strzępy. Potem szerokim, tęgim nurtem gnał naprzeciw, coraz szybszy i mocniejszy, jakby postanowił: — Zatrzymam ich w miejscu, nie puszczę!

Istotnie chwilami mogło się zdawać, że dopiął celu. K-6 zwalniał; śmigło pracowało ciężko z szumem i przyświstem, jakby zmęczone i już pokonane w gęstej strudze opływu powietrza. Skrzydła, parte od dołu, hamowane od przodu, puchły w górę i samolot piął się wzwyż nad jakąś bladą krą, majaczącą jak widmo głęboko w dole na czarnej powierzchni morza. Ale stery zgniatały go z powrotem do poziomu i mocne czerwone płaty z głośnym basowym gwizdem rozwalały przed sobą twardo ubite warstwy powietrza. Blade widmo kry zsuwało się w tył za statecznikí i ginęło w oddali, a maszyna parła dalej na południe.

Antena, rozpięta między końcami a osią steru bocznego, syczała od pędu. Nawet w zamkniętej kabinie słychać było ten ostry, wysoki syk i można było wyczuć jej gęstą jak dreszcz wibrację.

To przypomniało Plichcie o radiostacji pokładowej. Włączył prąd i wsunął wtyczkę słuchawek do kontaktu. Potem nałożył na szyję laryngofon i zaczął stroić odbiornik na długość fal według wykazu stacji nadbrzeżnych: Serce Kamień, Wańkaren, Lisburne, Beerhey i Barrow.

Słyszał jakieś brzęczykowe sygnały Morse'a, to cienkie, płaczliwe, skarżące się, to grube, poważne ,to znów śpiewne, niemal melodyjne. Śpieszyły się, buczały, jęczały, piszczały nerwowo, splatały się ze sobą, milkły i odzywały się znowu.

Nie rozumiał ich, nie mając dostatecznej wyprawy w posługiwaniu się kodeksem łączności radiowej, ponieważ zwykle funkcje radiotelegrafisty pełnił na samolocie Przywara. Nie próbował też nawiązywać łączności z lądem i prosić o przełączenie się na fonię, ponieważ zasięg jego stacji nadawczej nie przekraczał 150-ciu kilometrów, podczas gdy maszyna nie przeleciała jeszcze nawet czwartej części odległości, dzielącej ją od najbliższego brzegu. Natomiast miał nadzieję, że uda mu się ustalić dokładne kierunki dwóch lub trzech stacji goniometrycznych według zaniku ich sygnałów na wariometrze. Pozwoliłoby mu to na określenie własnego położenia na mapie, a co za tym idzie — mógłby się zorientować, jak należy dalej lecieć i jaka odległość dzieli go od lądu.

Wybrał Wańkaren i Barrow, po pierwsze — ponieważ długości ich fal najbardziej różniły się między sobą, po drugie zaś — ponieważ stacje te dzieliła największa przestrzeń, co pozwalało na stosunkowo dokładne określenie kąta, jaki tworzyły z samolotem.

Najpierw słuchał Barrow i odnalazł całkowity zanik sygnałów na 77-miu i 257-miu stopniach. To mu dało średnią — 167 stopni.

— Mam już kurs, którym powinienem lecieć — pomyślał.

Przełączył się na Wańkaren i wolno wygaszał sygnały, obracając tarczę wariometru. Cichły, następnie zaś znów się budziły. Ustalił najcichszy dźwięk przy 131 stopniach i zaczął szukać zaniku w północno-zachodniej ćwiartce róży wiatrów, aby sprawdzić, czy się nie myli.

Wariometr wskazał 311 stopni.

Obliczył średnią. Peleng Wańkaren wynosi 221 stopni.

— Pilewicz miał rację — stwierdził. — Lecimy nad sto sześćdziesiątym południkiem.

Teraz obliczał kąt między Barrow, miejscem przelotu K-6 i Wańkaren. Wypadło mu 54 stopnie. Mógł już na mapie zaznaczyć to miejsce, w którym się w tej chwili znajdował. Uczynił to i zmierzył odległość.

Gwizdnął przez zęby. Do najbliższego lądu, to jest do przylądka Barrow, miał dokładnie 545 kilometrów, nie zaś 335, jak się spodziewał.

— Szczepanik źle obliczył szerokość — wywnioskował z bijącym mocno sercem. — Zepchnęło nas na północ w ciągu ostatnich kilkunastu godzin i — co teraz będzie?...

Lecieli już prawie godzinę i więcej niż trzecia część zapasów benzyny została zużyta. Mogli jeszcze utrzymać się w powietrzu najwyżej dwie godziny.

— To znaczy jakieś 360 do 400 kilometrów, gdyby nie było wiatru — pomyślał Plichta.

Obejrzał się na Burnagla, ale nie zamierzał mówić mu o tym. Obejrzał się, ponieważ ogarnęło go dziwne wrażenie, iż Burnagiel domyśla się prawdy.

W sprzyjających okolicznościach na równym lodzie przylądowym, mogliby wylądować i wlać do zbiornika jeszcze trzydzieści litrów z bańki, którą mieli na pokładzie. Z tą ilością paliwa przeleciałby jeszcze 150, 160 kilometrów.

— Gdyby nie było wiatru.

Wiatr był. Wzmagał się i dawał znać o sobie.

Wiatr wiał coraz mocniejszy i coraz bardziej porywisty.

Wiatr hamował samolot, zmniejszając jego szybkość do stu dziesięciu, a nawet stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

Wiatr mógł ich zgubić...

Plichta zastanawiał się, czy nie należy zawrócić. To było by najrozsądniejsze.

Ale nie zawracał. Pomyślał, jakie wrażenie wywarłby jego powrót do obozu. Ile zawiódłby nadziei.

— Czy zdołałbym po raz drugi wystartować? — zadał sobie pytanie.

Pole lodowe mogło do tego czasu popękać i rozpaść się zupełnie. Pozostawał wprawdzie start z wody na pływakach, ale również mogło się zdarzyć, że kry uniemożliwią taki start. Morze zmieniało się przecież ciągle: raz było wolne, raz zatłoczone krą, złe i wściekłe, raz spokojne lecz zasłane grubą pierzyną mgieł.

Mogło się zdarzyć, że samolot zostanie zniszczony i pochłonięty przez fale, podobnie jak radiostacja, zanim warunki tak się ułożą, iż powtórny start będzie możliwy. Mogło zajść mnóstwo innych przeszkód i okoliczności niepomyślnych.

Z drugiej strony lot bez nadziei osiągnięcia lądu nie miał sensu. Nawet jeśli lód przybrzeżny sięgałby aż tak daleko i jeśli udało by się wylądować na nim, nie do pomyślenia było, aby zdołali przebyć w jakikolwiek sposób pozostałe paręset kilometrów. A prawdopodobieństwo odnalezienia ich przez kogokolwiek wcale by się wówczas nie zwiększyło.

— Co robić? — myślał Plichta. — Jak postąpić?...

Coś ciągnęło go na południe. Wbrew rozsądkowi. Na przekór coraz potężniejszym uderzeniom wiatru. Pomimo oczywistej logiki obliczeń.

Przed nim na południu była włóczęga, dla której gotów był porzucić i poświęcić wszystko inne. Za nim, na północy — obóz, który stał się więzieniem w lodowej pustyni. Ale oprócz niego na pokładzie K-6 był przecież także Burnagiel. Ten ani chciał ani mógł dla włóczęgi ryzykować życia w grze o tak niewielkich szansach wygranej. Był chory i bez sił.

Poza tym — samolot i jego pilot stanowili ostatnią stawkę czterdziestu siedmiu ludzi. Stawkę, której nie można było lekkomyślnie rzucać na niepewne, i Plichta dobrze to rozumiał.

Wiatr wył i zajadle atakował maszynę. Wynosił ją wysoko na garbatych, ruchliwych barach i ciskał w dół. Zapadała w zdradziecką próżnię, rycząc przyśpieszonymi werblami silnika, gdy śmigło nie napotykało oporu w rzadkim powietrzu, i — nagle uderzona tęgim podmuchem — wspina się jak do skoku, jęcząc z wysiłku. Cios następował po ciosie. Jeden skręt splatał się z drugim — jeden wir rzucał ją w następny.

C. D. NASTĄPI

Pod redakcją mistrza Gawlikowskiego

CEL „GAMBITU"

W poprzednim naszym dziale poruszaliśmy podstawowe zagadnienie szybkiego rozwoju. Figury nie mogą stać w domu, chcą żyć, trzeba je koniecznie możliwie jak najprędzej wprowadzić do akcji.

Dziś, co prawda „nowa szkoła" teoretyków głosi pogląd nieco inny: uważa ona, że figurę należy rozwijać **najlepiej**, jak można, a nie **najszybciej**, jak można, co było zasadą starej, tzw. „klasycznej szkoły", mistrzów kombinacji i ataku z końca ubiegłego stulecia. Aby jednak rozwijać figurę na najlepsze pole trzeba przede wszystkim dobrze znać debiuty, teorię otwarć. To dla nas sprawa dziś jeszcze nie bardzo aktualna. Rozwijając szybko figury według reguł ogólnych, kierując je do akcji w środku (centrum) szachownicy, gdzie mają największe pola działania, szybko zabezpieczyć króla (przez roszadę w stronę, gdzie przeciwnik ma najmniejsze możliwości skonstruowania ataku) — czynimy w zasadzie zadość wymogom obu „szkół" i pozycja nasza po kilku, czy kilkunastu pierwszych, rozwojowych posunięciach powinna wyglądać zupełnie przyzwoicie.

Dla uzyskania przewagi w rozwoju, dzięki której bardzo często możemy osiągnąć groźny, czasem decydujący atak — dobrze jest w pewnych otwarciach oddać przeciwnikowi jakiegoś mało ważnego pionka. Nazywa się to „**gambitem**" (co po włosku oznacza po prostu „podstawić nogę"). Mniej doświadczony przeciwik prawie zawsze pionka zabije, co zresztą w zasadzie jest słuszne, gdyż, jak głosi większość teoretyków — obalić „gambit" można tylko przez jego przyjęcie — ale potem z reguły popełnia jeden decydujący błąd: za wszelką cenę stara się utrzymać tę drobną zdobycz, zamiast myśleć o swym rozwoju i o swym królu— myśli o zdobytym pionku i marzy o przejściu do końcówki. I za to czeka go kara: my w międzyczasie szybko się rozwijamy i rozpoczynamy atak na zupełnie jeszcze nie przygotowaną do obrony pozycję zbyt „materialistycznie" nastawionego przeciwnika. W rezultacie odbieramy za zwyczaj (często z dobrym procentem!) ofiarowanego piona, pozostając z przewagą pozycyjną.

Do czego może doprowadzić ślepa obrona zdobytego pionka zilustruje nam najlepiej poniższy charakterystyczny przykład.

W GAMBICIE HETMANA po posunięciach **1. d2 — d4, d7 — d5. 2. c2 — c4** czarne przyjmują gambit **2... d5 : c4.** Białe grają 3. e2 — e3, grożąc G : c4. Czarne mogą teraz grać 3... e5, aby po 4. d : e5 przez 4... H : d1 zderoszować białego króla, ale pragną one utrzymać piona: 3... b7—b5. **4. a2 — a4! c7 — c6?** (nie 4... a6. 5 . a : b5, a : b5?? 6. W : a8) **5. a4 : b5, c6 : b5??** Pion utrzymany, ale po 6. Hd1 — f3! czarne chcąc ocalić wieżę a8 muszą oddać na b7 gońca, albo na c6 skoczka. Białe zdobyły by figurę.

Do najpopularniejszych otwarć ubiegłego stulecia należał b. ostry **GAMBIT KRÓLEWSKI 1. e2 — e4, e7 — e5, 2. f2 — f4.** Celem jego było przede wszystkim otwarcie linii f, atak na f7 i wyeliminowae z centrum czarnego piona e5, co ułatwiało białym uformowanie silnego pionowego centrum, przez ewentualne d2 — d4

Zbadajmy tu dziś, choć pokrótce dwa podstawowe warianty, związane z przyjęciem gambitu:

A) 2... e5 : f4. 3. **Sg1 — f3, Gf8 — e7. 4. Gf1 — c4! Ge7—h4. 5. g2 — g3! f4 : g3. 6. 0 — 0, g3 : h2 † . 7. Kg1 —h1! Białe** mają 3 (!) piony mniej, ale wyprowadziły już 3 figury, zabezpieczyły doskonale króla, któremu teraz ukrytemu za czarnym pionem nie grozi absolutnie nic, atakują f7, mogą łatwo opanować centrum przez d2 — d4.

Czarne rozwinęły dopiero jedną figurę, gońca h4 i to nie nadzwyczajnie. Atak białych nie łatwo odeprzeć i ofiara trzech pionów była zupełnie uzasadniona.

B) 2... e5 : f4. 3. Sg1—f3, g7 — g5 (czarne broniąc piona pragną wyzyskać nieco osłabione przez f2 — f4 prawe skrzydło białych i dążą do kontrataku) **4. Gf1 —c4, g5 — g4. 5. 0 — 0?! g4 : f3. 6. Hd1 : f3.** Dla ataku na punkt f7 poświęciły białe nawet figurę. Piona f4 zdobywają łatwo, przez c3 i d4 opanowują centrum. Atak białych według ostatnich badań nie wyrównuje co prawda w zupełności poniesionych strat, ale czasem stosować go można.

Wniosek ogólny: w wypadku przyjęcia gambitu królewskiego przez czarne, białe mają zawsze co najmniej praktyczne, poważne szanse ataku na skrzydło króla i mogą łatwo osiągnąć przewagę w centrum. Dlaczego jednak właśnie to centrum ma tak wielkie znaczenie i tyle razy już spotykaliśmy się z tym określeniem — powiemy następnym razem.

Klub FILATELISTÓW

CZECHOSŁOWACJA

Reprodukujemy dzisiaj wydane 20 marca trzy pierwsze wartości nowej serii obiegowej 50 h (fioletowy) — P. O. Hviezdoslav, 80 h (karminowo-czerwony) — V. Vanczura i 1 Kcs (zielony) — J. Szverma.

Plan wydawniczy na rok 1949 powiększył się o 2 dalsze serie, jedna ma upamiętnić w maju IX zjazd partii komunistycznej, druga (składająca się z 4 wartości), uczci Bedrzicha Smetane i Fryderyka Szopena.

SPOTKANIA W ETERZE

UWAGA Harcerze i Harcerki-

Chcecie zapewne wyjechać na obóz letni. Rodzice Wasi interesują się tym, jak będziecie tam spędzać czas, jakie będziecie wykonywali czynności, co Wam może dać obóz letni.

W celu zapoznania Waszych Rodziców z programem zajęć i celem akcji obozowej, zostanie wygłoszona przez Radio, POGADANKA NACZELNICTWA ZHP W DNIU 24 MAJA BR. O GODZ. 15.50.

Poproście Rodziców o wysłuchanie pogadanki.

×

AUDYCJE DLA DZIECI GODZ. 15.30—15.45

UWAGA: — w niedzielę audycje nadawane są o godz. 14.10—14.30.

24.5. — Gromadka Świetlicowa wykona audycję Miry Wiśniewskiej dla miłośników przyrody pt. „Rozbójnik o żółtych nogach".

25.5. — „Gawroche — dziecko ulicy" — to tytuł słuchowiska dla dzieci starszych według Wiktora Hugo, w wykonaniu artystów Teatru Miejskiego w Bydgoszczy.

26.5. (Niedziela) — Ewa Szelburg-Zarembina poprowadzi rozmowę z dziećmi w audycji pt. „Mówimy ze sobą".

28.5. — Usłyszymy II część audycji pt. „Pierścień i róża" według Wiliama Thackeray'a.

29.5. — Mira Grelichowska przy akompaniamencie Czesława Aniołkiewicza, będzie śpiewała piosenki.

30.5. — Przy głośnikach zbierają się młodzi fizycy, słuchając pogadanki dr. Elżbiety Rubinowicz pt. „Hallo! Młodzi fizycy".

2.6. — „Śpiewamy piosenki" pod kierunkiem prof. Bronisława Rutkowskiego.

4.6. — Słuchamy audycji słowno - muzycznej (nieustalona).

5.6 (Niedziela)—Przed mikrofonem wystąpi Teatr Kukiełkowy „Baj baju" z Katowic.

6.6. — „Zielone Święta" — to tytuł audycji słowno-muzycznej dr. Janiny Przeworskiej.

AUDYCJE SZKOLNE DLA KLAS MŁODSZYCH GODZ. 11.40—11.57

25.5. — Zapoznamy się z tradycja „Święta Matki", słuchając audycji pod tym tytułem, w opracowaniu Ewy Szelburg-Zarembiny.

27.5. — Usłyszymy odpowiedzi na listy i dowiemy się „W jaki sposób kompozytorzy wykorzystują barwę instrumentów" z audycji słowno-muzycznej Lecha Miklaszewskiego.

30.5. — Audycja mickiewiczowska, związana z uroczystościami „Roku Mickiewiczowskiego".

AUDYCJE SZKOLNE DLA KLAS: VI, VII, VIII i IX, GODZ. 8.50— 9.15.

25.5. — „Juliusz Słowacki", to tytuł audycji Krystyny Kuliczkowskiej.

27.5. — Uczymy się „Zakładać i pielęgnować trawniki", słuchając audycji inż. Zofii Brzywczy-Kumińskiej. Druga część audycji nosi tytuł „Czego nauczyliście się o oberku".

20.5. — Uczeń II klasy Licealnej — Krzysztof Serkowski, przewodniczący Koła Naukowego i kierownik sekcji astronomicznej opowie nam o swoich doświadczeniach w audycji pt. „O szkolnych kołach samokształceniowych". Pogadanka nosi tytuł „Jak obserwuję gwiazdy". W drugiej części audycji, usłyszymy odpowiedzi na listy.

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

pod red. A. Nowakowskiego

ODPOWIEDZI

Z. Augustyniak — Warszawa. A przecież jest na to prosty sposób: podawać przy każdym zadaniu swój dokładny adres, bo to nam bardzo ułatwi pracę Zgoda?

A. Twardowski — Katowice. Oczywiście, że każdy może nadesłać zadania swego układu i jeśli będą odpowiednie zostaną wydrukowane. Wielu Czytelników kompletuje roczniki „Św. Mł.", a wycinanie kuponów niszczyło by im poszczególne numery. Rozwiązania zadań nadsyłać należy pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „rozrywki umysłowe".

Z. Kortas — Bydgoszcz. Odpowiedzi udzieliliśmy Wam w jednym z poprzednich numerów, a materiałów nadesłanych i nie wykorzystanych redakcja nie zwraca bez uprzedzenia, przy czym należy załączyć znaczek na przesyłkę zwrotną.

Z. Walczak — Sochaczew. Niestety tym 5-tym nagrodzonym był kto inny. Pozdrowienia **R. Ouas de Penno** — Warszawa, **J. Biernacik, H. Kanik** — Pszczyna, **K. Plewicki** — Wschowa, **R. Kończyk** — Ostrowiec, **J. Machaliński** — Działdowo, **S. Szponar** — Chełm, **Z. Nowacki** — Poznań, **I. Makówka** — Łódź, **J. Kijak** — Słoszowice, **H. Baniszewski** — Starosielce.

Nadesłane zadania nie pójdą. Należy rysować bardzo starannie czarnym tuszem na białym niekratkowanym) papierze, a rozwiązanie zadań załączyć na oddzielnej kartce.

B. Zwiefka — Tczew, **R. Baanaczkowski** — Katowice, **Z. Kzdzierski** — Pabianice, **A. Czechoński** — Tomaszów, **M. Ostap** — Gdynia, **L. Fausek** — Kraków, **W. Przybylski**—Podzdbice, **T. Walas** — Dąbrowa Górn., **A. Siedlecki** — Niemysłowice, **E. Mazur** — Radłów, **Z. Dybowski**— Warszawa. Z nadesłanych materiałów nie skorzystamy.

D. Jędrychowska — Gliwice. **Z. Sobecka** — Katowice. Rozwiązanie jednego zadania daje takie samo prawo do udziału w losowaniu nagród jak rozwiązanie wszystkich zadań.

LOGOGRYF

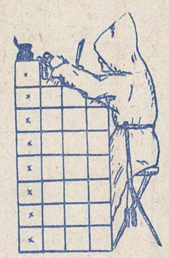

Do podanej figury wpisać poziomo 8 wyrazów o poniższych znaczeniach. Zaznaczony rząd pionowy da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Symbol chemiczny potasu. 2) Głos żeński. 3) Sprzęt sportowy. 4) Port polski. 5) Część głowy. 6) Rodzaj sportu. 7) Uczeń, wychowanek. 8) Narzędzia rolnicze.

Z. Gierliński — Chełm Lub.

LOGOGRYF „A"

Do podanej figury wpisać pionowo 13 wyrazów czteroliterowych o poniższych znaczeniach. Wszystkie wyrazy kończą się literą „A". Pierwsze litery tych wyrazów dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

Zmniejszenie, złagodzenie bólu. 2) Inaczej „skrzynia". 3) Port nadbałtycki. 4) Sala wykładowa w uniwersytecie. 5) Ujemna cecha charakteru. 6) Miasto w woj. kieleckim. 7) Ptak morski. 8) Jedna z wysp indonezyjskich. 9) Prawy dopływ Wisły. 10) Sztuczne, nienaturalne ustawienie się. 11) Lewy dopływ Warty. 12) Poprzeczny drąg u masztu. 13) Zapora wodna.

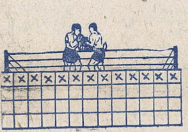

Z. Gierliński
Chełm Lub.

Rozwiazania zadań nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „rozrywki umysłowe". Za dobre rozwiązanie przyznanych zostanie drogą losowania

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH

Rozwiązanie zadań z nr. 12-go

REBUSIKI: 1) Warszawa, 2) Wafel, Azot, Rzym, Szuwar, Zefir, Analiza, Welwet, Azbest — Warszawa (pierwsze litery!), 3) Rywal.

KALAMBURY: 1) Rekord, 2) Be-ton, 3) Fason.

ARYTMOGRAF: Nadeszła pani wiosna — piękna, żyzna i radosna (przęsło, winiak, Żyd).

Za dobre rozwiązanie zadań z nr. 12-go nagrody książkowe otrzymują:

1) Romuald Barsukiewicz — Szczecinek, ul. Chełmińska 11.

2) Jan Kałuski — Kazimierza Wielka, ul. 3-go Maja 8/10, pow. Pińczów.

3) Helena Kuźmak — Leszno, Nowy Rynek 19/5.

4) Stanisław May — Kalisz. ul. Harcerska 13 m. 8.

5) Jan Namysł — Zabrze-Zaborze, ul. Buczka 1 m. 8.

J. Hierowski — Kazimierza Wielka. Nadsyłane zadania są coraz lepsze, narazie jednak do druku nie nadają się.

J. Szczygieł — Wieliczka. Nie należy używać tuszu kolorowego, a wyłącznie czarnego. Wirówka po przeróbce ewentualnie pójdzie.

W. Rutkowski — Sochaczew. Nagrodę otrzymać ma prawo każdy, kto rozwiąże przynajmniej jedno z zamieszczonych zadań, ale czy koniecznie po nadesłaniu rozwiązań „aż"... z trzech numerów ((2, 3 i 4)? Trzeba przecież wziąć pod uwagę, że nagród jest 5, a dobrych rozwiązań o wiele więcej. W każdym razie forma w jakiej zwracacie się do redakcji na pewno nie wpłynie na przyspieszenie wylosowania nagrody. A co do kolegi W. B. to przecież on otrzymał nagrody za ułożone przez siebie zadania, a nie za rozwiązania zadań, więc nie rozumiemy Waszego zarzutu.

K. Kielawa — Łowicz. Kolówka - logogryf pójdzie. prosimy jednak o uzbrojenie się w cierpliwość. Rysunek krzyżówki za mały i przez to niewyraźny, lepiej rysować w większym formacie, gdyż zmniejszenie go po tym nie sprawia trudności, a wypada dużo lepiej.

ŁUK I STRZAŁY

Zanim staniemy do „wielkich" zawodów łuczniczych, zaopatrzeni w „prawdziwy" łuk i strzały, musimy przed tym długo trenować. Do takich treningów wystarczy nam łuk i strzały „własnej roboty".

Wycinamy w lesie równy, dowolnej grubości kijek z buku, klonu, jarzębiny, białej akacji, korzenia choiny, orzecha lub leszczyny, długości około 1 m (naturalnie) po porozumieniu się z gajowym czy ogrodnikiem, aby uniknąć „dzikiego" niszczenia drzew. Nie zdejmujemy kory i robimy na końcach zaciosy. Na jednym końcu, w miejscu zrobionego zaciosu, przywiązujemy cienki, lecz mocny sznurek. Stawiamy kijek tym końcem na ziemi, a drugi koniec przyciskamy ramieniem aż do zgięcia. Skoro kijek będzie zgięty mniej więcej tak, jak pokazano na rysunku, zawiązujemy wolny koniec sznurka z drugiej strony.

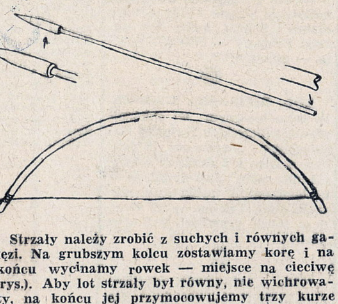

Strzały należy zrobić z suchych i równych gałęzi. Na grubszym kolcu zostawiamy korę i na końcu wycinamy rowek — miejsce na cięciwę (rys.). Aby lot strzały był równy, nie wichrowaty, na końcu jej przymocowujemy trzy kurze piórka — lotki, w ten sposób, że wklejamy je w zrobione zacięcie. Długość strzały zależy od odległości, do jakiej możemy odciągnąć cięciwę.

Łuk i strzały gotowe. Możemy teraz trenować. Powodzenia!

Sport MŁODYCH

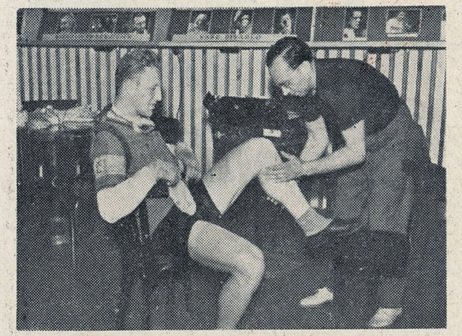

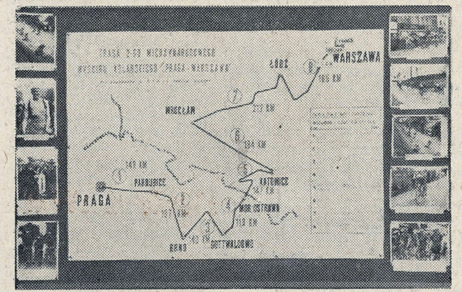

Niezmiernym powodzeniem w czasie trwania wyścigu kolarskiego Praga — Warszawa, cieszyła się tablica informacyjna podająca dokładne wyniki indywidualne i drużynowe.

* * *

Przed każdym etapem trzeba być dobrze przygotowanym. Kolarz czeski Ejem poddaje się masowaniu rozluźniającemu mięśnie.

Gramy w palanta

ROZPOCZYNAMY dziś omawianie jednej z najbardziej popularnych gier chłopięcych, a mianowiecie palanta. Oczywiście jak zwykle rozpoczynamy od boiska i jego wymiarów.

Otóż boisko do palanta powinno być prostokątne, długie na 35 — 40 kroków szerokie oraz od 80 — 100 kroków długie. Prostokąt ten dzielimy trzema poprzecznymi liniami, na trzy równe boiska. Krótszy bok boiska, tzw. linia królestwa, oznacza pole za boiskiem zakreślonym. To właśnie pole nazywa się królestwem.

Po środku tej linii zatacza się półkole w stronę królestwa, przyczym promień półkola winien równać się 2 — 3 krokom. Zaczynając od linii królestwa, pierwsza poprzeczna linia nosi nazwę półmetka, zaś następna z kolei nazywa się linią mety. W środku tej linii wbija się dwie mocno osadzone chorągiewki, umocowane na drążku 1,5 metra wysokim. Chorągiewki te winny być oddalone od siebie o 3 lub 4 kroki.

Takie same chorągiewki wbijemy jeszcze na rogach boiska oraz w punktach, gdzie linie poprzeczne przecinają się z bokami prostokąta. Granice boiska oraz wszystkie linie poprzeczne muszą być bardzo widoczne i silnie wyrysowane.

CO NAM POTRZEBA?

Jakie przybory będą nam potrzebne do gry w palanta? A więc w pierwszym rzędzie palant z drzewa, długi na 60 do 80 cm, w jednym końcu grubszy o średnicy 4 cm, w drugim zaś zakończony pałką, co dostatecznie ilustruje rys. 2.

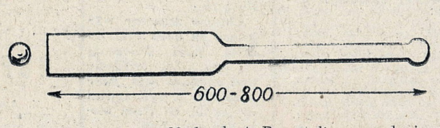

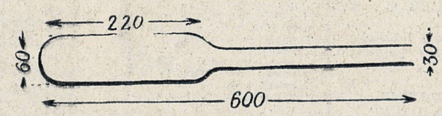

Piłka wykonana być może ze skóry lub włóczki i winna posiadać obwodu 20 — 22 cm.

Grają ze sobą dwie drużyny, przyczym skład ilościowy obu musi być sobie równy, a ilość jednej drużyny nie może być mniejsza niż 9. Matki drużyn losują palantem, która drużyna zajmuje królestwo, a która idzie na „pole".

PUNKTY, PUNKTY...

Drużyny muszą być ponumerowane i tylko w tym porządku mogą zagrywać. Począwszy od Nr. 1 gracze stają w półkolu trzymając w jednej ręce piłkę, w drugiej zaś palant. Pozostali gracze drużyny ustawiają się na tylnej linii, aby uniknąć ewentualnego uderzenia palantem. Czas trwania gry wynosi 2 razy po 20 minut, przyczym obowiązuje pięciominutowa przerwa. Po przerwie następuje zmiana boisk. W sumie zwycięża drużyna, która zdobyła w obu grach większą ilość punktów. Przewaga jednej drużyny nad drugą musi wynosić przynajmniej 2 punkty. W wypadku równej ilości punktów zarządza się dogrywkę.

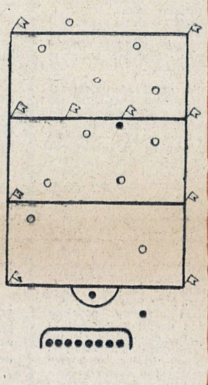

O tym, jak te punkty należy zdobywać i jak wyglądać powinien przebieg gry, napiszemy następnym razem.

Pokłosie 20 mistrzostw bokserskich Polski

XX-te jubileuszowe indywidualne mistrzostwa Polski w boksie mamy już za sobą. Terenem zaciętych czterodniowych zmagań o zaszczytne tytuły mistrzowskie była największa w Europie, Hala Ludowa we Wrocławiu, mogąca pomieścić ponad 20.000 widzów. Wyniki poszczególnych walk znają zapewne nasi Czytelnicy z pism codziennych, przypomnę więc tylko nazwiska mistrzów: w. musza — Kasperczak (Wrocław), w. kogucia — Grzywocz (Slask), w. piórkowa — Antkiewicz (Gdańsk), w. lekka — Czortek (Warszawa), w. półśrednia — Chychła (Gdańsk), w. średnia — Nowara (Slask), w. półciężka — Szymura (Warszawa), w. ciężka — Klimecki (Wrocław). Wśród nich widzimy 6-ciu bokserów, którzy zdobyli tytuły mistrzowskie i w roku ubiegłym. A ponieważ i dwaj „nowi" mistrzowie — Czortek i Nowara — nie należą do młodszego pokolenia, wydawałoby się, że młodzież nasza spisała się niezadawalniająco.

A tymczasem tak nie jest! Z całą pewnością i satysfakcją stwierdzam, że młodzież poczyniła wyraźne postępy i w tej chwili mimo pozornego braku sukcesów w postaci zdobycia mistrzowskich szarf, zaprezentowała całą plejadę zawodników, którzy mogą w każdej chwili pokonać starszych „koronowanych" kolegów i zastąpić ich w razie potrzeby. I tak w muszej nieprzeciętnym talentem błysnął 18-letni Woźniak (Poznań), który był najbardziej stylowym bokserem swej wagi. Dalej wyróżnić muszę „kilkunastolatków": Mikołajczewskiego (Gdańsk) i Kukiera (Lublin), o których napewno jeszcze usłyszymy. Zresztą w tej wadze „sam" mistrz Kasperczak (Wrocław) jest przedstawicielem młodych. Czajkowski, Kaflowski i Nowaczyk (w. kogucia), Panke i Kruża (w. piórkowa), Waluga, Sadowski i Piotrowski (w. lekka), Trzepizór (w. półśrednia), Paliński i Grzelak (w. średnia), Koleczko (w. półciężka), Stec i Rutkowski (w. ciężka) — oto czołówka naszych młodych, która spisała się dzielnie w ostatnich mistrzostwach, która wykazała się solidnym przygotowaniem i wniosła na ring jedną z największych zalet dobrego sportowca — ambicję. Miałem także możność stwierdzenia, że wielu z nich jest uczniami szkół zawodowych, gdzie również znajdują się w czołówce pilnych i dobrych uczniów. To jest właśnie bardzo pocieszające i potwierdza, że sport można i trzeba pogodzić z nauką.

Przechodząc do omówienia organizacji samych zawodów, muszę podkreślić, że Dolnośląski Okrąg Zw. Bokserski wywiązał się z niej b. dobrze. Mam jedno tylko zastrzeżenie, ale to już pod adresem najwyższych naszych władz bokserskich. Otóż sam system przeprowadzania mistrzostw jest bardzo wyczerpujący dla zawodników i 4-ro dniową „młóckę" (około 90 walk), jak i wyciąganie zawodników na ring nawet o godz. 1-ej w nocy, nie uważam za właściwe. Może to mieć miejsce w boksie zawodowym w... Ameryce, ale nie powinno powtórzyć się u nas. Można przecież obmyśleć jakiś inny sposób eliminacji do mistrzostw, chociażby przez rozłożenie w czasie i przeprowadzenie np. walk wstępnych w jakimś mieście, następnie po tygodniu lub nawet dwóch wyznaczenie walk ćwierćfinałowych w innym mieście dla zwycięzców walk wstępnych, dalej w odstępie półfinały znów w innym mieście itd. W ten sposób szereg okręgów miałoby możność obejrzenia czołowych zawodników polskich, dalej zawodnicy stawaliby do walk wypoczęci, co dawałoby większe prawdopodobieństwo lepszego (przynajmniej kondycyjnie i bez uszczerbku dla zdrowia) pojedynku.

W wypowiedzi swej nie jestem na pewno odosobniony i pozwolę sobie przytoczyć słowa red. Bryżewskiego, jednego z najlepszych znawców sztuki bokserskiej w Polsce: „Dotychczasowy system rozgrywania mistrzostw nie zdał egzaminu życiowego i jest zbyt wyczerpujący dla zawodników, a nawet i dla publiczności i trzeba bezwzględnie pomyśleć o jego zmianie".

Na zakończenie kilka drobiazgów:

WSZYSTKO CO NAJ...

NAJmłodszą drużynę (i to jaką!) wystawił Poznań. W zespole tym „najstarszy" zawodnik liczył 21 lat. Oby takich okręgów było więcej.

NAJsłabiej zaprezentował się okręg białostocki, bo nie wystawił żadnego zawodnika. Okręg ten zresztą od pewnego czasu nie przejawia żadnej działalności. Oby nikt nie poszedł w jego ślady.

NAJciekawszą walką było spotkanie Antkiewicza z Bazarnikiem, które po prostu porwało całą widownię.

NAJkrótszą walkę stoczył Kaflowski (Wrocław), wygrywając z Listowskim (Olsztyn) przez k.o. po 15 sek.

NAJbardziej zmiennym okazał się Dobija (Śląsk), który pierwszą walkę wygrał przez k. o. z Wierzbowiczem (Szczecin), a następną przegrał przez poddanie się Szymurze.

NAJbardziej odporny na ciosy okazał się popularny we Wrocławiu „Wania" Krupiński w półciężkiej.

NAJwiększą bojowość pokazał Sadowski (Szczecin) w walce z rutynowanym Czortkiem.

NAJwiększą sympatią Wrocławian cieszył się Kasperczak, zwany popularnie „Laleczka", mimo, że nie błysnął nadzwyczajną formą, a z zawodników zamiejscowych Czortek, któremu chyba wszyscy życzyli zdobycia upragnionego i zasłużonego tytułu.

NAJwiększą „reakcję" publiczności ujrzeliśmy, a raczej usłyszeliśmy (przeszło 30-to minutowe gwizdy i okrzyki) po ogłoszeniu Olejnika (Łódź) zwycięzcą w walce ze Sztolcem (Wrocław). Kilkanaście tysięcy Wrocławian uważało, że wynik spotkania winien być odwrotny.

ALFRED NOWAKOWSKI

SPORT W SZKOLE

W ub. sobotę i niedzielę, w warszawskiej YMCA, odbywały się niezmiernie interesujące zawody w piłce siatkowej i koszykowej pomiędzy drużynami szkolnymi z Łodzi i Warszawy.

Redaktor sportowy odpowiada

KOL. SIWEK K. — Tak jest np. w Czechosłowacji równ.eż nastąpiła reorganizacja sportu. Na drugie Twe pytanie odpowiadamy przykładami. Np. dwa najpopularniejsze kluby czeskie Slavia i Sparta, noszą dziś nazwy: Dynamo — Slavia i Sparta — Sokol.

●

KOL. BIELIŃSKI, GDAŃSK. W roku bieżącym w mistrzostwach piłkarskich Związku Radzieckiego uczestniczy 18 drużyn, a więc o 4 drużyny więcej, niż ub. roku. Jak dotąd, to te 4 „beniaminki" robią duże niespodzianki. Tak np. w tej chwili w tabeli prowadzi Naftowiec (Baku).

●

KOL. „MIŁOŚNIK LEKKOATLETYKI" Z OTWOCKA. Rekordy, uzyskane przez czołowe lekkoatletki radzieckie w Polsce, zostały przez FIA zatwierdzone.

●

KOL. NADOLSKI JULIAN, OLEŚNICA. W miarę miejsca postaramy się wykorzystać.

Świat MŁODYCH
PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ I SZKOLNEJ

Tygodnik Związku Harcerstwa Polskiego
Wydaje Sp. Wyd. - Ośw. „Czytelnik"

REDAGUJE: zespół.
ADRES REDAKCJI: Warszawa, Dworkowa 103, tel.: 432-57, 432-58.
ADRES ADMINISTRACJI: (dział prenumeraty): Warszawa, pl. Trzech Krzyży 16, tel. 810-26.
DRUK: Zakł. graficzne „RSW" Prasa — Smolna 12.
WARUNKI PRENUMERATY: Cena egzemplarza 10 złotych w prenumeracie miesięcznej 35 zł, kwartalnej 100 zł. Prenumeratę zamawiać przekazem PKO — wpłacać na konto czekowe PKO I-8001 „Swiat Młodych".
Listonosze i urzędy pocztowe w całym kraju przyjmują w terminie do 20 każdego miesiąca wpłaty na tzw. prenumeratę zleconą, przy którym to systemie odpada wypisywanie przekazów i zamówień oraz unika się opłat pocztowych za przekazywanie pieniędzy i za ewentualne reklamacje.

Z. 954 B-71829